Nr. 21. Poznań, niedziela 24-go maja 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. i r. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Nasi przeciwnicy.

W tej walce, która od chwili narodzin „Przeglądu“ zawrzała z niezwykłą siłą w Księstwie Poznańskiem, otaczały nas różnorodne hufce przeciwników i w imię różnorodnych haseł wołano do szeregu żołnierzy. Najliczniejszym jednak był zawsze ów zastęp wrogów nieubłaganych, który złączony pod chorągwią o zachowawczo-klerykalnych barwach. wierzył nieugięcie, że przez długie lata wszechwładnego królowania tak radykalnie wyniszczył całą spuściznę liberalniejszej epoki Księstwa. tak szczelnie pozamykał okna i bramy przed napływem humanitarnych i postępowych prądów zachodu, tak opiłował indywidualizmy ludzkie i zdusił cywilną odwagę w społeczeństwie, że nie znajdzie się chyba grono ludzi rozwijających inne sztandary i domagających się prawa głosu tam, gdzie panowało potulne milczenie Nie twierdzimy bynajmniej, że w tym głównym obozie wrogów naszych nie istnieją żadne odcienie. — przeciwnie jedne zastępy ruszają w pole z tą nienawiścią, która tryska z zranionych uczuć koteryjnego samowładztwa, — drugie wprawia w histeryczny paroksyzm każdy dźwięk myśli wylatującej po za granice ortodoksyi, każdy ruch skierowany ku przekształceniu dotychczasowego stosunku klas i uświęconych form społecznego życia, — w innych góruje ponad wszystkiem wstręt właściwy starym powagom do młodych reformatorów — są wreszcie i tacy, którzy zrozumieć nie mogą, że każdy ruch przełomowy musi zrazu w nieco jaskrawych objawiać się blaskach, i których razi głownie pewna rogatość formy w krytycyzmie naszym. Wszystkie te kolory jednak są tylko odmianami zasadniczej klerykalno - zachowawczej barwy, — cały ten obóz zwalcza nas w imię starego porządku rzeczy, w imię hierarchii klasowej, doktryn powszechnej supremacyi kościelnej i całego legionu formułek konserwatywnego kodeksu.

W zmieszanych gwarach bojowych dosłyszy ucho uważne syk podrażnionych ambicyi i szemranie zepchniętych z piedestałów swoich autorytetów, — głośniej jednakże brzmi ideowy protest reakcyi przerażonej światłem niezwykłem; im energiczniej żelazne prawa ekonomiczne dokonują w dzielnicach naszych przemiany stosunków społecznych, im silniej prądy humanitarne domagają się praw obywatelstwa, im częściej społeczeństwo uznaje potrzebę rozgraniczania polityki i kościelnych rządów, tem namiętniejszą staje się krucyata konserwatyzmu przeciw drużynie Przeglądowej. Nie będziemy tu powtarzać charakterystyki przeróżnych gatunków broni, któremi w tej walce zaciętej starano się zdusić młode postępowe stronnictwo, — zwrócimy tylko uwagę ogólnikowo na dwa systemy polemiczne, praktykowane najkonsekwentniej.

Pierwszym z nich to zręczne usuwanie opozycyi od wszelkiego udziału w życiu publicznem. to zasadnicze lekceważenie każdej cegiełki, którą do gmachów naszej obrony narodowej dorzuca młodopolska ręka, — drugim to proklamowanie organu naszego jako zasadniczego przeciwnika katolicyzmu i apostoła jednostronnej, brutalnej demagogii. Roczniki pisma naszego są niedwuznacznem świadectwem tendencyjnej kłamliwości tych wrogich opinii, rozsiewanych po całym zaborze pruskim, lecz któż pyta o świadectwa? Jednostki zaledwie, a tysiące wierzą na słowo. Tak „Przegląd Poznański“, ten umiarkowany pod każdym względem, choć konsekwentny szermierz postępu, zyskał w opinii szerokich kół społeczeństwa naszego miano jednego z najradykalniejszych organów polskich.

Nagle zabrzmiał głos inny. Odezwał się Piotr Stroma w broszurze p. t. „Program Przeglądu Poznańskiego“. Pseudonim p. Stromy nie jest obcym czytelnikom „Przeglądu“, bo poruszaliśmy przed dwoma laty jego literacki pierwiosnek p. t. „O społeczeństwie poznańskiem“. Książeczka ta nosiła wprawdzie cechy pewnego radykalizmu o studenckim zakroju, lecz cechowała ją forma wytworna i ten zapał ideowy, który podbija serca i umysły. Wonczas przedstawił nam się p. Stroma jako liberalny doktryner, budujący przy zielonym stoliku, z daleka od ludzi i stosunków, teoryjki swoje i wyroki, lecz jego wiara, jego siła młodzieńcza i znamiona literackich zdolności gasiły na ustach uśmiechy, wywołane radykalnem deklamatorstwem. To też dziś, po dwóch latach, z pewnem zaciekawieniem braliśmy do ręki broszurę, która p. t. „Program Przeglądu Poznańskiego“ ukazała się na półkach księgarskich. Interesował nas temat i interesowała ewolucya autora, lecz z żalem niestety z góry zaznaczyć musimy, że w obu kierunkach spotkał nas zawód. Piotr Stroma pozostał dawnym deklamatorem. — utracił tylko dawną świeżość i siłę.

Broszura p. Stromy skierowaną jest w pierwszym rzędzie przeciw umiarkowanemu kierunkowi pisma naszego, w którym dopatruje się braku odwagi i wyrazistości, a część jej krytyczna opiera się niemal wyłącznie na trzech artykułach, zamieszczonych p. t. „Nowy program“ w lutowych zeszytach „Przeglądu“. Pomijamy zupełnie pretensyonalność autora, z którą zabiera się do kazania swojego, skąpanego w ironiczno-apostolsko-elegijnym tonie, — nie kusimy się też o rozbiór szczegółowy książeczki, nie zasługującej na głębszą uwagę, — ale musimy poświęcić jej kilka uwag, nietylko jako przeciwniczce z skrajnej lewicy obozu postępowego i charakterystycznemu „pendant“ do gromów Kuryerowego stronnictwa, lecz jako ciekawemu przyczynkowi do psychologii pewnych umysłów, których rozwój ideowy kończy się na dwudziestym roku życia. a przynajmniej dopiero na długiej lat przestrzeni zaczyna się pogłębiać, rozszerzać i na podstawie warunków realnego bytu dla tego bytu pracować.

Piotr Stroma krytykuje nasz program, naszą ostrożność i lękliwość rzekomą, a krytykuje ją w sposób przypominający dyalektykę greckich sofistów, która każdemu z nas na prymanerskich ławach nie mało sprawiała kłopotu. Różnica polega jedynie na tem, że Meletusi dawni lubowali się w dzieleniu cząstek od całości i naginaniu do celów swoich elastycznych zwrotów stylowych, p. Stroma zaś, powiedziawszy sobie z góry, że za każdą cenę należy zdruzgotać treść artykułów „Przeglądowych“, nie cofa się nawet przed tendencyjnem fałszowaniem naszych opinii. Dla scharakteryzowania taktyki p. Stromy podajemy następującą próbkę adwokackiego krętactwa.

Zarzucając nam ni ztąd ni zowąd, że stronnictwu ludowemu bratniej dłoni podać nie chcemy, tak pisze: „Wy i tutaj okazujecie w dwie strony świata rozpołowione Janusowe oblicze i nie mogąc odmówić ruchowi ludowemu zdrowej, na nasze stosunki odradzająco działającej polityki, wygłaszacie o jego przewodnikach bez dostatecznego powodu uwłaczające zdanie, że ich hasło naczelne „samopomoc“, które przeciwstawili „łasce pańskiej“ tak zw. „stronictwa narodowego“, wydane zostało przez prowodyrów tylko ze względów taktycznych jako rodzaj *captatio ben volentiae* względem tłumów“.

Otóż p. Stroma, który od życia praktycznego stroni jaknajdalej i słyszy zawsze,

że gdzieś dzwonią, ale nie wie, w którym kościele, powinien się był przed napisaniem broszury poinformować, że zarzut powyższy sformułowany został przez stronnictwo konserwatywne, a my polemizując z nim, napisaliśmy wyraźnie: „Chociażbyśmy nawet przyjęli za pewnik, że owo hasło wydane zostało przez prowodyrów tylko ze względów taktycznych, to już fakt, że hasło stało się popularnem dowodzi, że prowodyrowie trafili do serca ludu naszego".

Wobec tak wyraźnego przekręcania opinii naszych pozostaje tylko jedna alternatywa: Albo p. Stroma fałszuje tendencyjnie stanowisko „Przeglądu", albo skromnemi zasobami logiki swojej nie ogarnia treści naszych artykułów politycznych. Podobnych przykładów moglibyśmy naliczyć jeszcze sporo, a los nadomiar płata takie figle autorowi, że tam, gdzie wypaczywszy nasze opinie, sypie jak z rękawa apodaktyczne nauki, — wikła się w fałdach swej długiej sukienki i przewraca kozły logiczne. Tak np. śmieje się p. Stroma na całe gardło, że w jednym z artykułów programowych napisaliśmy zdanie następujące: „Nie wdajemy się w rozbiór kwestyi, więcej metafizycznej niż realnej, czy upadek Polski dokonał się pod wyrokiem sądu Boskiego, czy też pod obuchem t. zw. konieczności historycznej", — wesoły krytyk nie rozumie, że tendencyą naszą było zwrócenie uwagi na dwa kierunki historyozoficzne, z których jeden, opierając się na zasadach Heglowskich, znalazł wybitnego reprezentanta np. w Syblu, drugi w Kalince ma głównego przedstawiciela, — i z swadą liberalizującego studenta dziwi się, jak istnieć może podobne „dilemma przy wschodzącej zorzy dwudziestego wieku", a następnie poucza nas, że wszystko w dziejach jest tylko „wieczystym łańcuchem przyczyn i skutków".

Dziękując pokornie za naukę panu Piotrowi, ośmielamy się zapytać, na mocy jakiego salto mortale logiki po wypowiedzeniu na str. 7-mej długiej tyrady o „nieubłaganej konieczności historycznej", wykluczającej wszelkie metafizyczne sprężyny w dziejach, może na stronie dziesiątej ni ztąd ni zowąd deklamować o „dziejowem posłannictwie narodu polskiego". Czyżby Piotr Stroma między napisaniem 7-ej a 10-ej strony poszedł do Canossy i uwierzył nagle w siły nadziemskie, kierujące narodami i wskazujące im cele właściwe? Zdanie to mógłby przecież bez zastrzeżeń w łamach swoich umieścić „Kuryer Poznański".

Nie chcąc czytelników naszych nużyć dalszemi próbkami tej nieostrożnej, miałkiej i na wypaczonych lub oderwanych urywkach „Przeglądu" opartej krytyki, poprzestajemy na dwóch powyższych przykładach. Bo i cóż wreszcie odpowiadać na zarzuty takie, jak: „Kierunek wasz za mało różni się od tych, co dzisiaj ton społeczeństwu nadają", lub „Tam, gdzie koterye zamiast stronnictw politycznych, usłały sobie wygodne gniazdo na łonie społeczeństwa i ciągną z niego soki żywotne, tam i wy wpraszacie się z pół buńczuczną i pół pokorną miną — i także rękę wyciągacie, prosząc o ciepły kącik", albo wreszcie: „Przechylacie waszą chwiejącą głowę ku ideałom Kuryera Poznańskiego"(!) Wszystko to wypowiedziane jest z tak szeroką swadą, wszystko takie apodyktyczne, takie dramatyzowane, takie elegijne, że ciśnięte z trybuny sejmikowej w bezkrytyczne tłumy, wywarłoby niewątpliwie elektryzujące wrażenie, ale pod mikroskopem przedstawia się jako zlepek lśniących błyskotek stylowych, efektownych rakiet dyalektycznych i, co najprzykrzejsze, tendencyjnie wykrzywionych lub fałszywie zrozumianych cytat z pisma naszego. To nie jest poważna krytyka, — panie Stromo! Takiej taktyki trzyma się „Kuryer Poznański", lecz nie przystoi ona postępowym szermierzom, dla których prawda powinna zawsze pozostać ołtarzem.

Gdyby jednak Piotr Stroma był napisał tylko część pierwszą broszury swojej, sąd nasz wypadłby może, mimo wszystkich zarzutów, łagodnie, bo poczytalibyśmy ją za zwykły artykuł polemiczny, do którego zbyt wielkiej miary przykładać nie można. Przeciwnik nasz jednak pokusił się w drugiej części o charakterystykę ewolucyi porozbiorowej społeczeństwa, o pogląd na historyczne stanowisko kościoła i o pozytywne postulaty programowe, a w rozdziałach tych właśnie wyraźniejsze, niż gdziekolwiek złożył dowody, że nie dorósł do poważnego traktowania ani historyi, ani polityki. Bolejemy nad tem dla tego mianowicie, że wszelkie natarcie na klerykalne pojmowanie dziejów i stosunków, pozbawione ścisłości i powagi naukowej, odbija się niekorzystnie na całej sprawie postępu. Pisał wprawdzie p. Stroma broszurę tylko, nie dzieło, ale i w broszurze nie wolno ogłaszać historycznych herezyi, fałszować charakterów lub wydymać tendencyjnie motywów dziejowych. Jakże p. Stroma żądać od nas może, aby go na seryo traktować, skoro np. nie waha się w jednym szeregu równorzędnych typów postawić Rejtana obok Staszyca i Kołłątaja, a o walkach naszych o niepodległość wypowiada zdanie, „że skierowane były przeciw zewnętrznej niewoli, lecz prowadzone *w imię niewoli wewnętrznej*." Czyżby autor nie wiedział, że już Kościuszkowskie powstanie było przełamaniem „wewnętrznej niewoli?" Czyżby obcemi były mu idee przenikające organizm ostatnich powstań? Podobny brak ścisłości naukowej cechuje również ustęp o stanowisku Kościoła katolickiego w dziejach Polski i o wpływie Jezuitów na koleje narodu naszego. Cała ta dysertacya zawiera oczywiście niejeden szczegół prawdziwy, ale generalizowanie pewnych sprężyn upadku naszego i zajadły ton polemiczny wywiera wrażenie dysput młodzieńczych na temat: „Czy Jezuici zgubili Polskę?" W podobne broszurki bawili się niegdyś emigranci paryzcy, a niejeden z nas czerpał z nich mądrość swoją w 18-tym roku życia.

Na ostatnich stronnicach książeczki swojej stawia p. Stroma szereg pozytywnych postulatów programowych; ani jednej chwili nie wahamy się przyklasnąć wywodom jego, nadmieniamy tylko, że nie ma w nich żadnej orginalnej myśli, żadnego punktu, któryby nie stanowił od chwili narodzin „Przeglądu" celu naszych dążeń

FR. RAWITA.

Dziki człowiek.

(Dokończenie).

Ojciec słuchał gorącej mowy syna z pochyloną głową i nic nie odpowiedział. Nagle zwrócił się do niego Pietia z zapytaniem:

— Ojcze, ty znasz polski język?

— Znam.

— Chcesz, przeczytam tobie parę ustępów z tego pięknego i głębokiego myślą poematu.

— Jak ci się podoba.

Pietia zerwał się z ławeczki i wprost do swego pokoju pobiegł. Wrócił po chwili, niosąc niewielką książeczkę w ręku i usiadłszy przy ojcu, kartki przewracać począł.

— Przeczytam ci tylko część IV, zakazaną przez cenzurę.

I czytać począł. Akcent jego brzmiał trochę z rosyjska, ale dykcya była wyraźna, silna, z wielkiem zrozumieniem myśli i odczuciem wygłoszona. Gdy przyszło do słów Tomasza:

Bronić się daremnie —
I śledztwo i sąd cały toczą się tajemnie;
Nikomu nie powiedzą, za co oskarżony —
Ten, co nas skarży, naszej ma słuchać obrony.

Pietia książkę na kolana odłożył i rzekł wzruszony:

— I dziś to samo — z nimi i z nami...

Iwan Matwijowicz milczał, potem podniósł oczy na syna i rzekł:

— Czytaj dalej:

Pietia powoli przybliżył książkę do oczu i miejsce, gdzie się zatrzymał, znalazłszy, znowu czytać począł; doszedł nareszcie do wyrazów:

Jeśli będzie uczciwy, pod moskiewskim rządem
Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem...

— Czy to nie prawda, ojcze? Cóż wnosi do ogólnego dorobku cywilizacyjnego takie państwo? Jaka może być jego przyszłość?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał:

— O, są tu i lepsze rzeczy... słuchaj tylko.

I znowu czytał, aż wreszcie doszedł do opowiadania Jana.

Iwan Matwijowicz podniósł głowę, utkwił źrenice w przestrzeń alei, oświetloną wesoło łagodnem słońcem majowem i słuchał w milczeniu. Znać było tylko z wyrazu jego twarzy, że prosta i smutna opowieść poety nie przechodzi bez wrażenia dla słuchacza. Niekiedy głową skinął na znak przytwierdzenia jakiegoś faktu lub uczucia, potem znowu słuchał, nachylając nieznacznie głowę i ucho w stronę czytającego, ażeby żadnego dźwięku, żadnego wyrazu nie stracić.

On spostrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy.
Wstrząsał nogą łańcuch na znak, że mu niezbyt ciężył.
A w tem zacięto konia — kibitka runęła —
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!" —
Wpadli w tłum; — ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc odar a bezwstydna,
Głowa niezawstydzona, dumna, z dala widna..

Iwan Matwijowicz rękę na książce położył i czytanie przerwał.

— Dosyć... dosyć!... wszystko prawda... widziałem na własne oczy.

Pietia spojrzał na ojca, którego twarz zmieniona była do niepoznania i dwie wielbie łzy toczyły się po niej. Nie rzekłszy ani słowa, nachylił się i w rękę ojca pocałował.

— Byłeś tam ojcze?

— Byłem... byłem...

Nastała cisza. Żaden z nich nie mógł mógł mówić ze wzruszenia i z natłoku myśli, niemogących się wydobyć przez krtań zaciśniętą. — Iwan Matwijowicz przerwał wreszcie ciszę.

Obyś takiego widoku nie oglądał nigdy. Ja robiłem tak, jak robi głupi sługa, który przychodzi z „moczałką" i kurz, osiadły na pięknym obrazie, wyciera, nie wiedząc o tem, że barwę obrazu zetrze. Ty tej poblakłej i okurzonej barwie nadałeś znowu świeżość.

W tej chwili na drodze alei dał się słyszeć skrzyp piasku i przed altanką ukazała się postać „batiuszki". Z trudem dźwigał swój beczkowaty, opasły kadłub i sapał.

— Cóż to wy tutaj we dwójkę siedzicie, jak zakochani — rzekł, zatrzymawszy się przed nimi — chodźmy coś przekąsić, wnet obiad podadzą.

Ojciec i syn nie odpowiadali. „Batiuszka" wtoczył się do altanki i na książkę, leżącą na ławeczce, spojrzał.

— Polskie książki czytacie? *Sławno... słauno... jej Bogu...*

i nie figurował jako myśl zasadnicza, konsekwentnie przeprowadzana w rocznikach pisma naszego. I dla tego autor broszury powiedziałby prawdę, gdyby na końcu sentencyi swoich zamieścił zdanie: „Takim *jest* program Przeglądu, lecz wtedy zbytecznem byłoby pisanie broszury i dla tego p. Stroma stroi się w cechy orginalności i kończy życzeniem: „Takim *mógłby* być program Przeglądu“.

Mógłby, — więc nie jest? Zobaczmy. Oto postulaty krytyka: 1. Walka z germanizacyą przez kościół. 2. Walka z kierunkiem politycznym stronnictwa ugodowogo. 3. Praca nad podniesieniem przemysłu i handlu. 4. Rozdzielenie dogmatu od nauki, — polityki od religii, z których każda jako odrębna dziedzina uważana być winna. 5. Reforma wychowania kobiecego w kierunku zdrowej emancypacyi. 6. Potrzeba postępowej ligi politycznej.

Cała ta litania programowa nie jest niczem więcej, jak krótkim wyciągiem z całego szeregu artykułów, rozrzuconych na stronnicach „Przeglądu“. Nie ma jednego numeru pisma naszego, w którymby ten i ów z postulatów powyższych nie znalazł energicznego wyrazu, czy to w formie artykułów teoretycznych, czy w krytycznem zastósowaniu do wypadków chwili bieżącej. Jeden chyba orginalny pomysł trysnął z pióra p. Piotra Stromy: Jest nim propozycya, aby „Goniec Wielkopolski“ zawarł przymierze z „Orędownikiem“ i „Przeglądem“. Ani słowa! Nie ma nic łatwiejszego jak przy zielonym stoliku budować przymierza, ale gdyby p. Stroma raczył zajrzeć do ostatniego rocznika „Gońca Wielkopolskiego“, gdyby chciał się przekonać o fizyognomii duchowej i politycznej kierowników jego, przekonałby się może, że sojusz taki w obecnych stosunkach zakrawa na dowcip.

Na tem kończymy rozprawę naszą z młodym luzakiem politycznym i doktrynerem, którego może kiedyś bliższe zetknięcie z życiem praktycznem zamieni z błędnego rycerza liberalizmu w dzielnego szermierza postępowej partyi. Lękamy się jednak, że pozostanie on zawsze — broszurowym autorem.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Krytyka ruchu ludowego i jego obrona. „Gazeta Gdańska“ zamieściła przed niedawnym czasem artykuł, nadesłany z Poznania, poddający ostrej krytyce ruch ludowy i wypowiadający naiwne przekonanie, że gdyby germanizacyjna robota duchowieństwa na Górnym Szlązku, w Prusach Zachodnich i w Warmii nie nadawała temu ruchowi pewnych pozorów słuszności, to zmarniałby już oddawna. Z artykułu tego przytaczamy ustęp następujący:

„Zadając sobie pytanie, jakim sposobem mógł powstać i rozwinąć się w Wielkopolsee ruch, właściwej „ruchawka“, — nazwany kłamliwie „ludowym“, spostrzegamy, że czerpał on i czerpie swe soki żywotne z walk rozgrywających się na Ślązku, w Westfalii i w Prusach Zach. miedzy Polakami a ich współwyznawcami narodowości niemieckiej. (Ma być: księżmi germanizatorami!) Czczy, płochy, bezpodstawny, poczęści nawet występny ruch ten zyskuje w oczach krótkowidzów politycznych i bezmyślnego tłumu jakieś pozory uprawnienia, szczerości i konieczności (ach!) dzięki jedynie naiwnej taktyce germanizatorów katolickich, oni nadawają mu ów cieniutki pokost idealny, bez którego wydałby się brzydkim nawet ostatniemu prostaczkowi (ach! ach!)

„Słyszycie, panowie, i rozumiecie choć trocha, że wy to rozbijacie jedność katolicką, ten ostatni filar (?) upadłego i umęczonego narodu? Rozumiecie, że ludzie, co chcą „wyzwalać lud z więzów klerykalizmu“, to znaczy rozluźniać węzły serdeczne łączące lud z duchowieństwem, degradować ostatnie do rzędu kasty braminów indyjskich, zasklepionych w obrządkach a bez żadnego wpływu na życie publiczne, przepisywać Kościołowi katolickiemu, czy i o ile wolno mu się mieszać do spraw społecznych, narodowych i ekonomicznych, że ludzie tacy zmarnieliby od dawna na katolickiej ziemi naszej, Wielkopolski, gdybyście wy im nie dostarczali środka agitacyjnego, który kryje się w potwornem, dla ucha katolickiego wprost niezrozumiałem określeniu: ksiądz germanizator“!!“

Tu w dalszym ciągu tego długiego artykułu następują dwa ciekawe wyznania. „Gaz. Gdańska“ stwierdza:

że — „w Wielkopolsce naszej“ — lud zapytany o narodowość — zowie się „katolickim“, że lud ten wszystko nieomal „i oświatę i dobrobyt materyalny i wyższość moralną i samowiedzę narodową“ zawdzięcza księżom i szlachcie; że tu w Wielkopolsce niktby nie śmiał „dużyć ludu czarodziejskim lekiem samopomocy“, gdyby — germanizatorzy nie nasuwali myśli samopomocy ludowi polskiemu, któryby zresztą chętnie swe losy złożył w ręce tych księży!

W odpowiedzi na powyższe uwagi wypowiada „**Orędownik**“ następujące rozumne zdania.

„Szlachty polskiej coraz mniej i mniej, ergo lud polski ma się oddać — w ręce księży! Przecie można uznawać w stosunkach publicznych i szlachtę i księży, a jeszcze nie ograniczać ludowi polskiemu praw i swobody do rozwoju materyalnego, intelektualnego i narodowego — o własnych siłach. Tego „Gaz. Gdańska“, pisząca w maligule, nie widzi.

W drugim ustępie powiada „Gaz. Gdańska“, że organa ruchu ludowego — umizgają się do prasy ślązkiej, zachodnio-pruskiej i westfalskiej, że skrzętnie zapisują wszysto z pola walki ludu z duchowieństwem katolickiem, ale — „zręcznie zapominają dodawać, że duchowieństwo to jest zarazem niemieckiem.“

To ma znaczyć, że organa ruchu ludowego wyzyskują tę walkę w Prusach Zachodnich i na Górnym Ślązku na to, żeby tu w Wielkopolsce „kopać przepaść“ między ludem a księżmi!

Co taki zarzut moralnie wart, to każdy trafnie oceni. Organa ruchu ludowego i przeciw księżom

---

Wyciągnął rękę po książkę, ale Pietia szybkim ruchem umknął książkę i złożył.

— Przecież mówiłem, że chcę ojcu przeczytać parę ustępów z „Dziadów“ — odrzekł z akcentem zniecierpliwienia w głosie.

Pop uśmiechnął się zjadliwie.

Nu, niczewo... niczewo... bawcie się... tylko uważajcie, abyście się nie spolaczyli, a to możecie biedy napytać..

Iwan Matwijowicz nie odpowiadał, ale Pietia, roznerwowany cały, odrzekł z zapałem:

— Po co to „batiuszka“ rzeszotem wodę mierzyć? Nie znacie tego — i dosyć — nie ma o czem mówić.

Pop obraził się.

— A... to w uniwersytecie uczą was tak do starszych przemawiać — co? Pięknie... pięknie... pamiętaj jednak, że nietylko w polskiej literaturze, ale i u nas znajdziesz wiele arcydzieł.

Pietia zirytowanym głosem odrzekł:

— Wiem, wiem, tylko ja wam powiem, batiuszka“, że książka, która my czytamy, a której wy nie znacie, nie jest ani polską, ani naszą, ale — ludzką, bo duszę ludzką, duszę narodu przedstawia.

Wyrazy te zdziwiły „batiuszkę“ mocno. Stał z początku niemo, potem uśmiechnął się przymusowo, a w końcu rzekł:

— Duraczestwo wszystko co mówisz... duraczestwo... wybij to sobie z głowy, bo pojedziesz z pewnością tam — *gdie Makar telat nie pasiot*...

Po takiem stanowczem twierdzeniu popa wszelka opozycya i dyskusya były niemożebne. Iwan Matwijowicz, pragnąc złagodzić niemiłe starcie się syna z dziadkiem, odezwał się z akcentem udanej obojętności:

— Et, dajcie mu pokój... młode piwo... ma czas wyszumić się..

— Tak, prawda... ale nie w tę stronę wylewa się — zauważył „batiuszka“.

Pietia nie mógł już strawić w sobie uszczypliwych słów „batiuszki“, a gdy tylko znaleźli się sami, zauważył niby spokojnie:

— Ta „seminarska“ nauka dalej swego nosa nie sięga...

— Daj im spokój — łagodził ojciec.

Nie tak jednak łatwo było złagodzić wybuch zranionego uczucia młodzieńca.

— Co tu długo gadać — krzyknął z zapałem — Polacy są niezawodnie jednym z największych narodów w dziejach nowożytnych, kiedy ich cierpienia moralne tyle geniuszów zdolne były wydać!

Ojciec objął syna za szyję i pocałował.

— Kochasz prawdę... — rzekł.

W tej chwili jednak przyszły mu na myśl słowa z „Dziadów“:

Jeśli będzie uczciwy, pod moskiewskim rządem
Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem...

— Trudno ich zniszczyć — ciągnął Pietia — miłość, nienawiść, idee wolności, dziedziczą się także z pokolenia na pokolenie...

Słowa te zdziwiły Iwana Matwijowicza, zdało mu się, że syn do niego się zwracał i jakoby żądał wyjaśnienia prawdy, której nie znał, lecz domyślał się tylko i męczył się domysłem.

Wtem zaproszono ich na obiad.

Minęło kilka dni spokojnych, pięknych, w których Pietia zażywał całej młodzieńczej swobody, jakiej tylko wieś zdolną jest udzielić. Chodził, jeździł konno, kąpał się i szerokie dysputy prowadził z ojcem, zmieniającym się co dnia prawie do niepoznania. Wywiązywała się między nimi przyjaźń i otwartość przekonań, która zbliżała ich ku sobie coraz bardziej. Nieraz pragnął się wyspowiadać przed synem z długich mąk swoich i życia, wstrzymywał się jednak. Po co? Przestanie pamięć moją szanować... Niech idzie drogą, którą los jemu przeznaczył.

Wieczorem, kiedy już mieli siadać do wieczerzy, rozległ się turkot bryczki na dziedzińcu. „Batiuszka“ wyjrzał przez okno.

— No, będzie pula — rzekł — pan Bóg gości prowadzi.

Nikt mu jednak na to nic odpowiedział.

— Sprawnik i jeszcze dwóch panów — zauważył. — Tem lepiej. Ty Iwanie Matwijowiczu pewnie grać nie będziesz?

— Nie.

— *Ładno*... poczytacie sobie z synem polską książkę — zauważył złośliwia.

Tymczasem bryczka stanęła przed gankiem i goście wysiedli. W przedpokoju było ciemno; tylko przez otwarte drzwi od jadalnego kokoju wązka smuga światła wdzierała się. Na progu stanął „batiuszka“ i głosem tubalnym wołał:

— Iwan Matwijowicz! Każ stolik do kart rozsunąć.

Stał i śmiał się tubalnym głosem, z własnego dowcipu, spoglądając na gości, którzy narzutki od kurzu zawieszali na szaragach. Goście rozbierali się w milczeniu i widocznie do żartów nie byli usposobieni. Za

wielkopolskim otwarcie występowały, gdy podczas wyborów forytowali partyą dworską. Przy przyszłych wyborach znowu otwarcie przeciw nim z ludem wystąpią, a gdy księża zaprzestaną wywierać nacisku na wyborców w kierunku polityki partyi dworskiej, ustanie wszelkie tarcie między ludem a księżmi, ale nie ustanie jeszcze dążność, by sprawy narodowe opierać na własnych siłach, na samopomocy, choćby księża, idąc ręka w rękę z ludem, jeszcze raz tyle dla sprawy narodowej czynili, co dotąd uczynili. Między księżmi w wszystkich trzech dyecezyach ziem dawnej Rzeczypospolitej polskiej jest też mnóstwo księży takich, którzy ludowi polskiemu w kierunku narodowym szczerze dopomagają i równocześnie szczerze go do samopomocy pobudzają.

„Gaz. Gdańska“ konstruuje zaś z tej samopomocy — redutę ludu przeciw własnemu duchowieństwu!“

* * *

Z walk górnoszląskich. W Katowicach przed sądem ławniczym wydarzył się w tych dniach następujący wypadek. Przesłuchiwany jako świadek cieśla Bugiel oświadczył na wstępie, że pragnie mówić po polsku. „Jakto? zapytał sędzia — czy pan nie rozumie po niemiecku? — „Owszem! brzmiała odpowiedź, ale nie będąc Niemcem, trudno mi mówić po niemiecku“. Na to sędzia z widocznem poruszeniem: „Czy pan jesteś Moskalem, lub innej jakiej narodowości?“ Bugiel: „Nie, jestem Polakiem!“ Sędzia: „U nas nie ma Polaków, są tylko Niemcy i po niemiecku mówić muszą przed sądem. Przez opór swój ubliżyłeś Pan powadze sądu“. Rezultat był taki, że cieśla p. Bugiel skazany został na 6 marek kary lub dwa dni więzienia za nieprzyzwoite zachowanie się przed sądem.

„Katolik“ dodaje do opisu zajścia tego następującą uwagę:

„Nie jest to wprawdzie pierwszy wypadek tego rodzaju, boć zdarza się częściej, że świadkowie zostają karani nawet jednym lub dwoma dniami aresztu, jeżeli nie chcą mówić po niemiecku przed sądem. Niestety sąd ma prawo ukarania w takim przypadku, gdyż zależy to od jego widzimisię. Jakiemi poglądami się jednak w danym razie ten lub ów sędzia kierować może, na to powyższe zdarzenie jest dobitnym dowodem. Kto twierdzi, że u nas nie ma Polaków, ten chyba się grubo myli — łagodnie się wyrażając. Warto się go spytać, który nauczyciel mu to powiedział, a nauczycielowi temu trzeba kupić jaką historyą, z którejby się mógł nauczyć, że istnieje naród polski na Szlązku, i nawet prędzej tu był, aniżeli Niemcy“.

Karami takiemi nie przytłumi się ruchu polskiego, lecz tylko jeszcze oliwy do ognia doleje. Polakożerczy raciborski „Anzeiger“ tryumfuje z powodu tej odpowiedzi sędziowskiej i wymierzonej p. B. kary i opatrzył odnośną wzmiankę nagłówkiem: „Sprich Deutsch“. Ten sam Anzeiger skarży się równocześnie na bezwzględność polską i pisze, co następuje:

„Podczas gdy dawniej na tutejszym targu polscy chłopi na niemieckie pytania odpowiadali po niemiecku, dziś się prawie tego wcale nie spostrzega. Niestety u kupujących pochodzenia niemieckiego pokazuje się też teraz coraz wyraźniej zwyczaj popisywania się swą odrobiną polszczyzny. Kto na targ niemiecki przychodzi, aby swój towar sprzedać powinien także niemieckich kupców obsłużyć w niemieckim języku, i uczyniłby też to, gdyby go niemądrym sposobem nie utwierdzano w jego błędnem mniemaniu, że kupujący musi do niego przemawiać jego językiem, który właściwie jest tylko śmieszną gwarą (Kauderwelsch). Każdy kupujący Niemiec winien posiadać samowiedzę tego, że jest Niemcem, i nie popierać jeszcze polskiej propagandy na targu. Już chłop będzie mówił po niemiecku, jeżeli się towaru swego za pomocą swej polszczyzny nie pozbędzie“.

„Ciekawiśmy, — zaznaczają z powodu tego słusznie „Nowiny Raciborskie“, — coby panowie Niemcy z całą swoją „samowiedzą“ poczęli, gdyby im chłopi polscy wiktuałów na targ nie przywieźli.

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

„Non dolet!...“

(Fragment)

Młodszym po lutni braciom
poświęcam.

A kiedy przyjdzie śmierć mi zawrzeć oczy
I wolę zetrą mi przedzgonne lęki,
Niech bratnie druhów kółko mnie otoczy
I najszaleńsze me nuci piosenki,
By skarga, brzmiąca w mym bezwiednym jęku,
Zagasła... w śmiechu i kieliszków brzęku!

A kiedy przyjdą ułożyć mię w trumnę,
Niech mi przyjazna dłoń rzuci snop róży
Na czoło, niegdyś pogodą tak dumne,
By nikt nie dojrzał, że się w śmierci chmurzy,
I że tam leżę — zwalczony! ponury!
Odarty z śmiechu, tak jak król z purpury!

A kiedy mnie już pośród was nie będzie,
Niech nikt nie bada tajni mego życia:
Jaki duch stroił mych pieśni narzędzie?
I z jakich włókien jam prządł moje śnicia?
Bo gdybym to wam otwarcie wynurzył,
Duch wasz by pobladł i zadrżał i stchórzył!

Chcę tak, jak żyłem, iść w trumniane deski:
Głuchy na podszept tkliwości niemęskiej,
Przyobleczony w śmiechu płaszcz królewski,
Niepokonany serdecznemi klęski,
Urągający piorunom złej doli
Głosem rzymianki: „Patrzcie, to nie boli!“

Może wrodzony był w tem już od dziecka
Twardszy hart, większa ducha ogniotrwałość!
Może klasyczna jakaś próżność grecka,
Co mi kazała tłumić serca żałość
I śmiać się płocho, gdy trzewiem ból targa,
By w skardze... brzydko nie zadrżała warga.

A może było w tem zasługi nieco,
Kwilącej duszy nakazać milczenie,

---

drzwiami w przedpokoju słychać było także szmer ludzki.

— To tylko nieszczęście, że baby moje wyjechały do miasta i daj Boże, aby jutro wróciły — rzekł pop z dobrą miną.

Gdy goście byli już gotowi do wejścia, pop usunął się nieco na bok z progu, aby wolne przejście uczynić i odezwał się zachęcająco:

— Miłosti prosim.

Sprawnik podał mu obojętnie rękę, nieznajomy ukłonił się tylko i weszli.

Ten chłód niepodobał się „batiuszce“. Nadrabiał miną i prowadził gości do salonu. Usiedli. Sprawnik wyglądał trochę na zmieszanego, a nieznajomi w ziemię patrzyli w milczeniu.

— Pietia w domu? — zapytał.

— W domu.

Wreszcie jeden z nieznajomych odezwał się:

— Mam polecenie od generał-gubernatora aresztować Piotra Iwanowicza Markowskiego i natychmiast z nim do Kijowa się udać.

Słowa te, wypowiedziane zimno, spokojnie, z obojętnością człowieka, który je nieraz już wypowiadał, sprawiły na „batiuszkę“ wrażenie, jak trucizna, nadająca sztywność wszystkim członkom. Wodził wyłupiastemi oczyma od jednego do drugiego, jakby czekał bliższych wyjaśnień. W spojrzeniu tem malował się przestrach, połączony z uczuciem litości.

— Zmiłujcie się... jakże to — wybełkotał.

Nieznajomy ręce rozwiódł i zminą rezygnacyi spokojnie odrzekł:

— *Prikaz...*

Ten krótki wyraz miał oznaczać, że spełni, co mu polecono, co do joty, wszystko i nic go w wykonaniu rozkazu nie wstrzyma.

— O cóż to chodzi? — zapytał wreszcie nieśmiało „batiuszka“.

Nieznajomy zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć: nie wiem

Sprawnik nachylił się do popa i rzekł półgłosem:

— Wolnodumstwo... socyalizm, batiuška — ot, co gubi naszą młodzież. A kto ją do tego ciągnie? Polacy... zachciewa im się ojczyzny...

„Batiuszka“ z przestraszoną miną ręce podniósł do góry nabożnie, potem żegnać się począł Wreszcie półszeptem, jakby sam do siebie, mówił.

— Nieszczęście... nieszczęście...

— No, dosyć „batiuszka“, narzekać — odezwał się sprawnik — nie pora... Prowadźcie nas do Piotra Iwanowicza.

„Batiuszka“ zawahał się. Sprawnik spostrzegł wahanie się i dodał z naciskiem:

„Batiuszka“, to nie żarty.

Pop ruszył się ociężale i nie mówiąc ani słówka, poszedł. Sprawnik i nieznajomi — jeden z nich był kapitanem od żandarmów, a drugi podoficerem — podążyli za nim.

Ojca z synem zastali nad „Dziadami“.

„Batiuszka“ stanął nieco na uboczu, tak, że pozwolił nieznajomemu i sprawnikowi na środek pokoju wysunąć się. Iwan Matwijowicz powstał, ażeby się przywitać, ale uderzyła go sztywna postawa przybyłych, wyraz twarzy „batiuszki“, jako też chłodna, urzędowa atmosfera, którą ze sobą wnieśli.

Chwilkę wahania się i niepewności przerwał sprawnik, zwróciwszy się wprost do Pieti.

— Jak się pan miewa, mołodoj czełowiek? — rzekł z akcentem ironicznym.

— Dziękuję panu... co panu potrzeba?

Spojrzał na przybyłych ostro i domyślał się, o co chodzi.

— Interes do pana — zauważył sprawnik, usuwając się nieco na stronę i robiąc miejsce przybyłemu ze sobą kapitanowi od żandarmów.

— Czy pan jesteś Piotr Iwanowicz Markowskij? — zapytał sucho kapitan.

— Ja jestem...

— Aresztuję pana.

Słowa te wywarły piorunujące wrażenie. Iwan Matwijowicz zbladł jak płótno i zdołał tylko wykrzyknąć:

— Boże!

Pietia stał z uśmiechem trochę ironicznym.

— Czy mogę pana zapytać za co?

— Dowiesz się pan w Kijowie. Proszę pana natychmiast ubrać się i pojedziemy.

— Iwan Matwijowicz stał, załamawszy ręce i tylko powtarzał:

— Boże! Boże!

W jednej chwili podoficer stanął przy Pieti i wyjął rewolwer, a równocześnie ukazało się na progu kilku żandarmów.

— Proszę nie ruszać się z miejsca.

Kapitan z galanteryą zwrócił się do Iwana Matwijowicza.

— Pan pozwoli, że w domu jego zrobimy rewizyę.

Przymusić oczy, niech pogodą święcą,
I z piosnką w ustach iść w-krós przez płomienie,
I śmiać się—śmiać się, gdy żar w mózg się wwierca,
By tym, co mdleją w ogniach... dodać serca!

Są bowiem czasy, kiedy brząkać śmiechem
Jest obowiązkiem rycerskim pieśniarza;
I są godziny, gdy skarga jest grzechem,
Bo słabsze duchy znękaniem podważa;
Są dni, gdy śmiech jest życia manifestem
I bladej trwodze odpowiada: Jestem!"

Taką to nutą bił mych piosnek strumień,
Które wrzucałem pośród nocy głuchej
W popłoch dusz smętnych i strwożonych sumień;
I wiał od śmiechu mego wiatr otuchy,
Jak od światełka, co w stepie migoce,
Wątłe w pielgrzymach orzeźwiając moce.

I ztąd też płynie me do życia prawo,
Którego sekciarz mi nie weźmie lichy,
Żem rany serca, gdy broczyły krwawo,
Zaklinał w kwiatów wiosennych kielichy
I męstwem duchy w asbest przyodziewał,
By przez płomienie mogły iść... na przewał!

Więc kiedy mnie już pośród was nie będzie,
Nie mówcie o mnie, żem zasnął na wieki,
Gdzie bowiem zadrga życie — zawsze! wszędzie!
Duch mój tam stanie żywy! niedaleki!
I wianek róż tam położcie na stole,
Bo moje miejsce jest w żyjących kole!

Włodzimierz Zagórski.
(Chochlik.)

Listy Stanisława Moniuszki.

(Dokończenie.)

1858, m. luty 4 (16) d. Wilno.

Najzacniejszy Leopoldzie!

Najczulej dziękuję, żeś się ulitował nademną i napisał raz przecie do mnie. Już mnie jakieś szare myśli trapiły. Bardzo także mnie pocieszyła wiadomość o współczuciu warszawianek dla niegodnego ich sługi. Wiesz dobrze, kochany Leopoldzie, czem dla nas są pieniądze. Od powrotu z Warszawy ciągle przemyślam, jak się tu od przeklętego dawania lekcyi wykręcić, choćby na czas potrzebny do napisania partytury nowej opery. A przyznasz, że jedno z drugiem w żaden sposób pogodzić się nie może.

Lekcye zabijają mnie wyraźnie i zresztą czasu przecież do pisania potrzebuję. Oczy moje nie dozwalają mnie przy świecy pracować, to więc tylko moje, co przez ranek zrobię.

A plan mam doskonały i Tobie jednemu w Warszawie powierzam, pod pieczęcią najgłębszej tajemnicy. Tak będzie: „Król chłopków", opera w trzech aktach, słowa Syrokomli i t. d. [1])

Prawda że to daje piękny afisz? Osoby: 1) Król, 2) Rokiczana, 3) Wierzynek, 4) Brozda, 5) wójt Łobzowiański, 6) Bartłomiej, stary kmieć, 7)Hanna jego córka, 8) Grzela, jej narzeczony, 9) Swat. [2])

W pierwszym akcie chór wieśniaków i tańce krakowskie; w drugim chór myśliwych; w trzecim tańce czeskie, chór wieśniaków. Treść pełna interesu, pogodna. Cały scenaryusz mojej kompozycyi. Znam niezgorzej scenę, więc o to nie kłopot.

Cała trudność w wydobyciu libretta od najroztrzepańszego, choć też i najzdolniejszego człowieka. Syrokomla wziął się z zapałem do roboty. Obyż wydołał! Potrzeba i mnie tylko czasu. Bo zapał do nowej pracy czuję coraz większy, w miarę, jak coraz bardziej łaskawi na mnie jesteście. Zapomoga pieniężna nigdyby w porę bardziej dopomódz mi nie mogła.

Miałem już jedno zapytanie na parę dni przed Twoim listem (który wlókł się dni 12-cie). Odpowiedziałem z całą otwartością i szczerością, którą zapewne za złe mi wziąć może jeden tylko Dobrzyński. Mój Boże! cóż to za człowiek! Jak to boleśnie, że nasz tak dobry dobytek i ten się jeszcze poniewiera. Przecież go szanujemy, cenimy, wielbimy co warte w nim. Po cóż tak deptać siebie, sądząc, że się tak drugich depcze, choć i to niebardzo zaszczytne. — Ani prywatnie, ani publicznie nie wypada nikomu z nas odpowiadać. — Bardzoście mądrze sobie doradzili, zaprzysięgając sobie milczenie. „Kto bredzi, nie ma odpowiedzi" i basta. Z Sikorskim nie ja zrywam, ale on sam odpycha mnie od siebie. Zresztą, pisał on do mnie raz, ja — dwa razy. Z czasem, da Bóg, wyperswaduję sobie, że nie każdy jest obowiązany odpowiadać na moje uczucia. To tylko wiem, że w „Kuryerku" żadnych dopominków robić nie będę. Jakże się cieszę, że pozbywacie się włoskiej opery! Toż to będzie przeduszniej na Waszej scenie, do której tak tęsknię, jak do kolebki nowego życia. Uściskam Cię, mój drogi, serdecznie. Proszę, pisz co najczęściej; powtarzam Ci, to jałmużna niezbędna dla mej duszy. Moja gromadka dziękuje Ci czule za wzmiankę o niej. Ja się Tobie bezpiecznie polecam.

Twój najwdzięczniejszy
S. Moniuszko.

Cząstki partytury już nie potrzebuję, a całą resztę odeślę nie dalej jak w tym tygodniu przez kogoś jadącego do Paryża. Uproszę go, ażeby ją złożył w księgarni Gebethnera. Tam ją znajdziecie.

Dobrze byłoby, ażeby Jędrzejewski egzemplarza nowo piszącego się nie składał w Bibliotece Waszej. Może się on przydać mnie zagranicą, jak skoro będę miał włoski przekład. Jeżeli istotnie projekt błogosławiony urządzenia koncertu przyjdzie pomyślnie do skutku, niezwłocznie udam się zagranicę, mianowicie do Pragi, dokąd mam ważne muzykalne interesa. A pojadę, rozumie się, na Warszawę.

[1]) Prawdopodobnie pierwssy tytuł „Rokiczany", opery z librettem Józefa Korzeniowskiego, której Moniuszko nie dokończył.

[2]) Osoby: 1 Król (Dobrski), 2) Rokiczana (Quatrini), 3) Wierzynek (Troszel), 4) Brózda (Stysiński), 5) Wójt Łobzowiański. 6) Bartłomiej, stary kmieć (Miller), 7) Hanna, jego córka (Rivoli) 8) Grzela, jej narzeczony (Matuszyński), 9) Swat (Panczykowski). (Przypisek autora).

Iwan Matwijowicz przyszedł nieco do równowagi.

— Po co mię pan pytasz o pozwolenie — zawołał gwałtownie — u was siła, u was prawo! Rob, ce chcesz!

Kapitan, zdawało się, nie zwrócił uwagi na ten wykrzyk rozpaczy wobec przemocy, zawołał jednego z podoficerów i począł starannie przeglądać i przetrząsać przy jego pomocy wszystko, co tylko było w pokoju. Sprawnik stał w milczącej postawie na uboczu nieco, a Iwan Matwijowicz chodził zamyślony, przystawał na chwilkę i coś sam do siebie mruczał. Wreszcie przed sprawnikiem zatrzymał się.

— Ty masz dzieci? — zapytał.

Sprawnik zdziwiony tem zapytaniem, akcentem jego i ruchami Iwana Matwijowicza gorączkowymi, nerwowemi, przyjął je za jeden ze zwykłych wybryków nieprzytomnego człowieka, boć przecie Iwan Matwijowicz nietylko wiedział, ile dzieci ma sprawnik, ale jednego z synów, rowieśnika Pieti, sam do chrztu trzymał.

— Mam — odrzekł.

Iwan Matwijowicz odwrócił się nagle i rękę wyciągnąwszy, palcem na syna wskazał; stał tak chwilkę z wyciągniętą ręką, blady z oburzenia i gniewu, wreszcie zawołał ostro:

— Widzisz?... To samo z twojemi będzie!

Na te słowa sprawnikowi drgnęło serce, poruszone miłością rodzicielską, ale drgnie nie to przygłuszył posłuszny urzędnik, który pragnął lojalność swoją okazać i wyrzec się wszelkiej solidarności z ludźmi, oskarżonymi o zbrodnię polityczną. Przybrał tedy postawę teatralną i wykrzyknął:

— Sam go w sałdaty oddam, jeśli nie będzie wierny Bogu i carowi!

Iwan Matwijowicz patrzył na niego pogardliwie.

— Bogu i carowi... — powtórzył, jakby pragnął umyślnie zaakcentować różnicę.

— Wy dziki człowiek jesteście, Iwanie Matwijowicz — zawołał sprawnik — nie wiecie, co to jest *zakon* — jedno słowo: *zakon*... Byliście przecie sami urzędnikiem.

Iwan Matwijowicz nie mógł jednak pohamować swego oburzenia.

Nie, ty jesteś dziki człowiek, ty, z twoim *zakonem* razem, który łamie ludzi i gniecie, nie w imię sprawiedliwości, ale w imię obawy przed sprawiedliwością!

W tej chwili kapitan trzymał w ręku tom „Dziadów" i oglądał.

— Czyja to książka?

— Moja — odrzekł Iwan Matwijowicz.

— Nie jest cenzuralną — zauważył sucho kapitan — zawiera obronę zbrodni przeciw porządkowi państwowemu i obrazę majestatu.

Powiedziawszy to, odłożył ją na boku stolika.

— Jak to? — zawołał z oburzeniem Iwan Matwijowicz — więc Polakom polskiej książki czytać nie wolno?

Kapitan zauważył spokojnie:

— Uczciwa ruska dusza oburza się na takie brednie.

— A polska i ludzka ze smutkiem i rozpaczą je czyta.

Kapitan począł znowu przeglądać papiery, książki, czytać listy, a Iwan Matwijowicz nerwowo wyrzucał z siebie wyrazy:

— To katy... opryczniki... zbóje, trzeba mieć waszą krew, wyssać ją z mlekiem... ja nie mam... nie mam... trudno! Dusza buntuje się.. oburza się na to, co się dzieje...

Sprawnik zbliżył się do kapitana i szepnął:

— On już od pewnego czasu zdradza pewne pomieszanie... Dawniej pił dużo, teraz przestał nagle. Może to wpłynęło...

Kapitan nic nie odpowiedział.

Iwan Matwijowicz blady, z oczyma w przestrzeń utkwionemi, mówił, przerywając nerwowo wyrazy.

— To trudno.. trudno... zmieniłem wiarę, zaparłem się języka, ale krwi polskiej nie mogłem wytoczyć z siebie... nikt nie wytoczy... Polakiem jestem... Spałem... obudziłem się i kochałem tych, którzy cierpią...

Wyczerpany walką wewnętrzną, zbliżył się do kanapy i usiadł.

W tej chwili kapitan skończył rewizyę i zwrócił się do Iwana Matwijowicza-

— Pan jesteś także aresztowany...

Przemyśl, d. 16 stycznia 1896.

1858 m. luty 16 (28) d. Wilno.

Mój najzacniejszy Leopoldzie!

Z całego serca dziękuję, żeś się nakoniec zebrał na Twoje drogie, najpożądańsze dla mnie pisanie. Wiele ci rzeczy mam powiedzieć, ale bojąc się, ażebym czego nie pominął, kategorycznie sobie postąpię. Wybacz więc arlekińtwo tego listu, a coprędzej mi odpowiedz: 1. Rozeszła się wieść po tutejszym teatrze, jakoby pani Gruszczyńska, wziąwszy od Was dymisyę, ma zamiar przyjechać do Wilna. Na miły Bóg, choćbym ją rad widzieć u nas, życzę jej wszakże wszelkiej pomyślności, najprzychylniej radzę, ażeby się trzymała wielkiego ołtarza. To co o naszej operze piszą nasi korespondenci, wprowadza w widoczny błąd niektórych artystów. Owóż jak szkodliwą jest nieznajomość traktowanego przedmiotu w organach krążących publicznie!

Poczciwy nasz „Stysio“,[1]) dla którego bym rad niebo przychylił, także zgłosił się do mnie po radę. Dałem mu ją otwartą, jaką mnie życzliwość dla niego podyktowała. Zostawcie to przy sobie. Piszę to tylko w bezbrzeżnem zaufaniu i widząc w Was, mój drogi Leopoldzie, wyraźnego Anioła Stróża opery naszej. Piękną zaprawdę kartę wybraliście sobie w dziejach muzyki polskiej. Oddzielać się od grona artystów waszej sceny nie widzę pory mniej stosownej.

Gdy już mowa o operze, więc parę słów o „Halce“. Przerwa przedstawień mojej opery zmieszała mnie trochę. Z początku sądziłem, że kto z artystów chory, ale kilkakrotne przedstawienie „Żydówki“ dało mi znowu do myślenia. Doczytawszy się nareszcie, że w „Halce“ Miller zastępuje Troszla, domyśliłem się, że nasz zacny pan Wilhelm cierpiący być musi, bo żeby na Stolnika miał być nie łaskaw, to nie przypuszczam ani na chwilę. Zasmuciła mnie wiadomość w „Ruchu“, że Keller nie tęgo brał się do Janusza. A teraz znowu pocieszyłem się, że na ostatniem przedstawieniu trzykrotnie był przywołany. Musiał się więc odchwycić.

2. Partyturę „Halki“ (orkiestrową) miałem przesłać przez kogoś jadącego do Warszawy, ale ten ktoś zawiódł mnie szkaradnie i dotychczas nie tylko że nie wyjechał, ale Bóg wie, kiedy się ztąd wybierze. Więc pocztą pod Twoim adresem wyślę akt 3-ci i 4-ty. A mnie za to za pośrednictwem p. Gebethnera przyślijcie partyturę „Uwertury“, którą Gebethner życzy sobie mieć ułożoną na 4 ręce. Więc czekam.

3. Jakże tam sobie radzicie z „Hugenotami“? Powiedz mi otwarcie, ażalibyś nie potrzebował fortepianowej partytury tej opery. Jużci byłaby się ona Wam przydała. Radość mnie sprawisz, jeżeli zgodzisz na to, ażebym Ci mój porządny lipskiego wydania dwutomowy egzemplarz, przysłał do pomocy. Byłbym sobie roił, że choć tą drobną posługą przyczyniam się do Waszej poczciwej pracy! i tak byłbym choć w marzeniu... szczęśliwy.

4 Kondratowicz zawiódł mnie szkaradnie. Nic nie pisze do mego libretta. Wymacaj, proszę, Chęcińskiego, czyby nie chciał sprobować? Po Wolskim jemu tylko mogę ufać. Zna scenę, zna formy, język przewyborny, poczciwa dusza, to rozumiem. Anasz Syrokomla!.. Płacz bierze, mówiąc o nim. 5 Co słychać o owym koncercie?[1]) Drożej cenię Wasze współczucie, nad wszelki jakiby mógł być rezultat jego. Ale też i pieniędzy bardzo potrzebuję. Tyle dałoby się zrobić przy wolniejszym czasie! a tu... biegać muszę po godzinach i po jakich jeszcze! Nie jestem wprawdzie na wysokościach Dobrzyńskiego, ale takich lekcyi, jakie ja zmuszony dawać jestem, bardziej nienawidzę niż on „Kamaryllę! Cieszy mnie niesłychanie powodzenie Jędrzejewskiego w „Halce“. To dowód, że element, którego on tam doskonałym jest uobecnieniem, zajmującym być nie przestał. Otóż jeżelibyś przyjął mój Clavierauszug do Hugonotów, przysłałbym Ci go przez księgarnię Zawadzkiego.

Odpiszże jaknajprędzej, wielce mnie tem pocieszysz. Chciej pozdrowić serdecznie wszystkich ludzi dobrej woli i polecić mnie łaskawej ich pamięci. Ażem podskoczył z radości, wyczytując w Kuryerku, że Rivoli Dobrski po dwanaściekroć wywołani po „Halce“! Więc się jeszcze trzymamy! Wierz, kochany mój Leopoldzie, że o takiem powodzeniu ani marzyłem. Czy też dyrekcya nie zechce mi czemkolwiek dopomódz.

Rozeszła się tu pogłoska, że ja otrzymuję tantiemy, tak jak to już i w Petersburgu weszło we zwyczaj. Liczą więc na palcach ilość przedstawień „Halki“ i zaczynają niżej mi się kłaniać. A moje tantiemy!!! oprócz prawa do nich nic nie mam, nawet pretensyi. Uściskam Cię serdecznie i Twoją Rodzinę również pozdrawiam.

S. Moniuszko.

[1]) Stysiński artysta opery

[1]) Z inicyatywy i za staraniem p. Maryi Kalergis, następnie małżonki p. Muchanowa, prezesa teatrów, wielkiej wielbicielki Moniuszki, dano w Warszawie koncert w d. 25 marca 1858 r. Znaczny dochód osiągnięty z tego koncertu, posłużył Moniuszce na wyjazd zagranicę.

Pierwszy dramat Ibsena.

Działalność Ibsena to jeden protest przeciwko owej moralności społecznej, która formułki posiada dla jednostek, nie różniących się niczem od typu codziennego, — która niema miary dla ludzi odrębnych czy usposobieniem, czy tylko warunkami zewnętrznemi, w jakich się znajdują. Walka między moralnością społeczną a indywidualną, — kolizya między odwiecznym porządkiem rzeczy a potężną wolą jednostki, wieczna niesprawiedliwość, z jaką świat wypowiada wyrok, gdy nie umie wniknąć w bogatą motywacyę człowieka, — wszystko to idea przewodnia całego szeregu dramatów i poematów dramatycznych Ibsena.

*MAJAK.**)

MŚCICIEL.

Tysiąc razy sobie powtarzał, że go to nic nie obchodzi, wie dobrze, że jeszcze drugi tysiąc razy to samo powtórzy, a nie uspokoi się. To jest rozpaczliwe; ma świadomość, przekonanie, iż nie wyprze z siebie tego jednego wrażenia, pod którem pozostaje od kilku miesięcy. Gdyby mógł, postawiłby mur chiński pomiędzy siebie i swoje myśli. A przy tem ta ciągła walka, czy powiedzieć Lorysowi, czy zamilczeć? Ten tam jest szczęśliwy póki nic nie wie, gdy dowie się runie całe jego szczęście. Narzucają mu się dwa pytania, czy Lorys jest rzeczywiście szczęśliwy, dalej, czy to wszystko co widział, nie było jakąś halucynacyą, złudzeniem podrażnionych jego nerwów. On wie, że jest nerwowy, lecz obecnie nie wgłębia się w przyczyny swej nerwowości, lecz trzyma się owych dwóch pytań. Zaczyna trzeć ręce, potem głowę, jakby się chciał otrzeźwić, przywrócić w sobie spokój, równowagę, usposobienie do bezstronnego sądzenia. Mówi, żeby mu się nić myśli nie plątała, półgłosem.

— Czy on jest szczęśliwy?

— Ha! zajrzeć do duszy jego nie mogę, lecz wszystko mówi za tem, że tak jest.

— Zawsze jest dla niej czuły, kochający — osieł!

— Hm — poprawia się — ten sąd ostatni nie jest bezstronny.

— Muszę przyjść do jakiegoś wniosku — mruczy dalej naciągając z niecierpliwością palce i sumując i układając prędko i energicznie wszystkie fakta i zdarzenia, które zauważył w ich pożyciu małżeńskiem. Jeszcze chwilę łamie się z sobą, pasuje, napręża — wreszcie woła jakby mu to ulgę sprawiało: — Lorys z nią jest szczęśliwy — a więc konsekwencya prosta: *nie powiem.*

Cieszy się jak małe dziecko, że doszedł do tego wniosku. Ledwo doszedł do niego, już znowu w nim budzi się skrupuł, odpędza go, czuje, że gdyby jeszcze raz zaczął rozumować, doszedłby do innego wniosku: że chociażby wiedział, iż Lorys jest szczęśliwym, to obowiązkiem jego jako przyjaciela, powiedzieć Lorysowi o wszystkiem. Jakżeż bo, on, przyjaciel Lorysa, miałby znieść, że Lorys żyje z kobietą, która.... Nie kończy zdania, myśl sama obrzydzenie mu sprawia. Zrywa się z krzesła wstrząsa się, jakby chciał się pozbyć czegoś nieprzyjemnego.

Lecz nagle mu przychodzi myśl, że on jeszcze nie powinien o niej myśleć tak źle, bo może to wszystko było halucynacyą, złudzeniem, on sam nie wie czem, bo w tej właśnie chwili, kiedy chce w siebie wmówić, że to wszystko tylko fikcya, że to jego przedrażnione nerwy figla mu spłatały, występuje ów epzoid tak wypukle przed jego okiem, że mógłby ich modelować, pamięta deseń tapetu, łagodny półton światła, zalegający pokój, przypomina sobie wyraźnie nawet ten zapach perfumu, który powonienie jego podrażnił, rozkoszny, namiętny, zmysłowy.

— Tak! tak! to wszystko było — mówi do siebie, a jednak chciałby powiedzieć: *nie wierzę*, lecz szepta tylko: *chciałbym nie wierzyć.*

Przypomina sobie wczas, że bynajmniej nie chce wrażenia otrzymanego pogłębić, najchętniej o niem zapomniałby, lecz ma rozważyć, czy ona, Etelka, żona Lorysa, była do tego zdolną.

Znał ją dobrze, była płytka, zalotna lecz dumna. Widywał ją na salonach jej ojca, radzcy legacyjnego. Pamiętał te salony wykwintne przy Schotenringu. Pamiętał te bogactwa, tylko zawsze mu się zdawało, że po za temi wspaniałemi egzotycznemi kwiatami, za ciężkiemi portyerami, była ukryta sztucznie zewnętrznym przepychem szara nędza, taka szara, że wrażenia jej nie zdołał w niem zagasić blask żyrandol odbijających się tysiącami brylantowych refleksów w kryształowych lustrach i lśniących płytach posadzki. Pamiętał tego radzcę legacyjnego, układny był, uprzejmy, o spokojnem obliczu. Nie przypuszczał atoli, aby to gładkie oblicze było zawsze tak równe, on dostrzegł tam jakieś cienie łamań i pasowań się z sobą. Był przekonany, że ta twarz jest inną, gdy wyjdzie po za towarzyskie koło salonu. Raz jeden tylko — podczas rautu — zabłąkał się do jego pracowni, krótki moment podpatrywał go w je-

*) Za pseudonimem „Majak“ ukrywa się jeden z młodszych publicystów poznańskich. Przyp. Red.

Już w najpierwszym swoim dramacie, Catilinie, który stworzył w 21 roku życia, Ibsen podejmuje walkę, w której nie ustał w czasie 48 lat. Przygotowywał się w owym czasie, jak sam powiada w przedmowie do drugiego wydania Catiliny, 75-go roku, do egzaminu uniwersyteckiego, w małem miasteczku norweskiem, Grimstad. Czytał Cicerona i Sallusta, i charakterystycznem jest, że za pierwszem zetknięciem się z historyą rzymską, umysł jego zajął nie kto inny, jak anarchista, w pełnem znaczeniu tego słowa, pierwszy w starym Rzymie.

Stary, niewolniczo usposobiony wobec senatu, chwiejący się już w dawnej cnocie wojennej, Rzym po jednej stronie, po drugiej patrycyusz, występujący sam do walki z senatem i legjami jego, — oto obraz, który zajął wyobraźnię młodego studenta. W epoce 48-go roku, w czasie rewolucyi wojen madziarskich i szlezwicko-holsztyńskich zdawał się w Europie całej duch wolności rwać z kajdan, w które zakuła go groza. Ibsen żył ową atmosferą, pis ł sonety na cześć króla Oskara i gorące epigrammy do Węgrów, a wszystkie te wiersze, jak mówi, sprawiają mu największą radość dla tego że ich nikt nie czytał. W usposobieniu takiem powstał pierwszy dramat jego: Catilina. Przeczytał go w gronie kolegów i znalazł ogromne uznanie; jeden przepisał starannie brulion, drugi zawiózł go do Chrystyanii, przedstawił dyrekcyi teatru, robiąc autorowi w liście największe nadzieje

— Nie wątpię o tem, pisze, że teatr dramat twój wystawi, gdyż w skład dyrekcyi wchodzi kilku rozsądnych ludzi.

Po dość długiem czekaniu, otrzymano z Chrystyanii odpowiedź odmowną. Własnym nakładem wydał więc młody autor pierwszy swój utwór, który nie znalazł żadnego poklasku; w czasach biedy studenckiej sprzedano ostatnie zeszyty nakładu na makulaturę. Dopiero 25 lat później autor, stojący już na wyżynie swojej karyery literackiej, zaopatrzył „Catilinę" przedmową, tu i owdzie poprawił dramat, zaokrąglił i rzucił w świat po raz drugi. Przekład niemiecki ukazał się dopiero w najświeższym czasie.

Catilina Ibsena to kontrast zupełny tego zdemoralizowanego bandyty, jakim go Cicero przedstawia. Idealista gorący, marzący wśród zepsucia i zniewieściałości współczesnego sobie świata o starym Rzymie Catonów, o rycerskiej dzielności dawnych wojowników. takim przedstawił się Catilina młodzieńczej wyobraźni poety. Bohater to Ibsenowski z krwi i kości; poucza zaś ten objaw, jak rychło indywidualność poety znalazła odpowiednie sobie formy tworzenia, przynajmniej w głównych zarysach. W szczegółach i zewnętrznej formie Catiliny Ibsen nie jest jeszcze sobą, nie posiada jeszcze owych charakterystycznych rysów, ktore sprawiły, że poeta norweski w literaturze dramatycznej wytyczne zajął stanowisko, że historya rozwoju dramatu i jego techniki imię Ibsena łączy z imieniem Aischylosa, Szekspira, Corneille'a, Szyllera

Jeden z takich charakterystycznych rysów Ibsena, który na twórczość dramatyczną wywarł wpływ w Niemczech i Francyi, — to jego sposób prowadzenia dyalogu. Człowiek, stojący na wyżynach kultury 19-go wieku, wyraża się zupełnie inaczej, jak to czyni indywiduum mniej zróżniczkowane. Człowiek współczesny nie wypowiada wszystkiego, co w duszy nosi, uczucie, narażone na pośmiewisko nieraz, kryje się głęboko w sercu. Stosunki i formy towarzyskie wytworzyły konieczność ukrywania własnych myśli pod oponę obojętności, ciągłej równowagi. Mówiąc, pragniemy postawić się w pewnem świetle, które nader często nie odpowiada rzeczywistości. To rozumowanie, a raczej spostrzeżenie życiowe, przeprowadza Ibsen genialnie w swoim dyalogu. Rozmowa w jego dziełach toczy się około najcodzienniejszych rzeczy, uczucia ludzi, ich wewnętrzne życie, nie są gadatliwe. Tylko mimowoli raz po raz przebłyska w tej szarej rozmowie oderwany promień, bijący prosto ze serca mówiącego. Mimowoli zdradza się mówiący w gwałtowniejszem wzruszeniu, kiedy skupiony, aby go nie okazać, zapomina, że i sposób stawiania pytań, powtarzanie tych samych słów, urywanie zdań, ton, głos drżący, — wszystko to świadczy wyraźnie o wewnętrznem jego usposobieniu. Dla tego dramaty jego na pierwszy rzut oka są tak mistyczno tajemnicze. Z kilku oderwanych, mimowolnych napomknień, z niewyraźnych odcieni mowy skleić cały zupełny charakter, to rzecz, wymagająca doskonałego poczucia dyalogu i wybornej znajojomości ludzi.

Druga jego właściwość polega na danej mu w wysokim stopniu zdolności uogólnienia przedmiotu. Zdaje nam się, gdy dzieło jego mamy w ręku, że cały świat zęśrodkowuje się w tych kilku dyalogach. Wątek dramatu jego to jakby jedna z niezliczonych analogii, które zapełniają świat i życie, — które w nieskończoność przeprowadzić się dadzą, przyłożyć do niezliczonych faktów życia. Gdy mówi o najprostszych rzeczach, słowa jego sięgają dalej, obejmują coraz szersze kręgi i napawają nieraz strachem, że tak samo wszędzie na świecie, że nigdy lepiej nie będzie, — nieraz brzmią jak protest nie przeciw osobom, do których zmierzają bezpośrednio, tylko przeciw światu całemu, że do podobnej nędzy i nieskończonej rozpaczy doprowadza.

Tych dwóch przymiotów Ibsena Catilina nie wykazuje jeszcze zupełnie. Rozwodzą się szeroko ludzie o sobie. Catilina w długich tyradach opowiada o swoich snach, swoich obawach; Lentulus nie zadaje sobie przymusu, aby ukryć wobec towarzyszów niechęć dla wodza spisku.

O ile jednak co do formy Ibsen w pierwszym swoim utworze nie stoi jeszcze na wysokości późniejszej techniki, o tyle jest od razu sobą, co do atmosfery, jaką tchną wszystkie jego dzieła. Ciekawą jest kwestyą, o ile późniejsze filozoficzne, wyrozumowane przekonania objawiają się pierwotnie w formie nieujętych, nieumotywowanych jeszcze poczuć w usposobieniu. Późniejszy pesymizm Ibsena oparty jest na umotywowanych poglądach. W walce jednostki z wiecznym porządkiem rzeczy, z wolą tłumu giną najlepsze siły, najpotężniejsze indywidua idą na

---

go sam na sam. Nie poznał go. Ten, co tam siedział, to człowiek złamany. Lustro na biurku, przed którem siedział, odbijało dokładnie twarz jego. To miał być ów spokojny, wykwintny gospodarz? Ta twarz z cierpkim wyrazem, niemej bezgranicznej rozpaczy? — Przed sobą trzymał jakiś papier. — Chwilę go tylko obserwował, potem się cofnął. — Radzca krótko potem zjawił się w salonie, spokojny, uśmiechnięty.

Od tej chwili był prawie przekonany, iż w domu tym nurtuje robak, iż śliska, lśniąca posadzka jest pokrywką wulkanu, który lada chwila wybuchnie, grzebiąc wszystkich w lawie i żużlach, chyba, że znajdzie się ktoś, kto ten wybuch powstrzyma. Dalej przypomina sobie oficera od ułanów. Viveur to był — mówiono o nim, że był dobrym chłopcem, lecz lekkomyślnym. Nigdy temu nie wierzył, przeczuwał w nim zgniliznę zupełną, taką, jaką tylko dać może wyuzdana żądza używania, podniecana zepsuciem wielkiego miasta. Żądza, która się przetwarza w nałóg, tłumi wszelkie najdrobniejsze objawy tego, co nazywamy moralnością, żądza taka złudna i lśniąca jak tło bagniska, zielone, rozkoszne, lecz gdy je ruszysz cuchnące i brzydkie brzydotą trudną do określenia, bagnistą, przegniłą. Wtenczas mówiono, że panna Etelka, owa błyszcząca, jak ogień fosforyczny, upajająca jak narkotyk, a zimna jak marmur panna, spogląda na niego czulej niż na innych. Raz nawet kiedyś w winiarni ktoś głośno powiedział, że ma potajemnie z nim schadzki; dalej mówić mu nie pozwolił. Opanowała go taka wściekłość, iż zamknął mówiącemu usta ręką. Przypomniał sobie bowiem ową czystość królewską, która od niej biła i matkę poważną, ascetyczną matronę. Miał potem pojedynek, wie dobrze, iż ciął oszczercę po twarzy. Teraz jeszcze odczuwał w ręku jakby rezonans tego ciosu, jakby uderzył prętem po aksamicie — i potem przeciwnik się cofnął wylękły, przerażony, oczy tylko jarzyły się nienawiścią. Dzisiaj prawie tego żałuje. Lecz nie czuje żalu, dobrze zrobił. Gorzko się uśmiechnął. Ręką machnął w powietrzu, jakby sobie przypomniał owo cięcie. Dalej był tam syn, człowiek ponury, ciemna postać, nędznik zupełny, którego nędzotę tylko ojciec niesłychanemi ofiarami pokrywał.

Gdy zesumował rezultat charakterów, otaczających Etelkę powiedział sobie, iż żyła w otoczeniu sztucznie tylko czystem, wokoło niej jednakże unosiła się atmosfera zepsucia. To ją uniewinnia. Głupstwo. Jak to ją uniewinnić może? Przecież w takiej atmosferze wyrastają także istoty czyste, jak lilia wodna na bagnistym gruncie.

Potem ów oficer zniknął nagle z widowni, podobno dla długów przesadzono go gdzieś do Bośnii; syn znowu na dalsze studya wyjechał do Paryża, zresztą fizyogomia domu się nie zmieniła. Wszystko było równie swobodne, jak dawniej, matka równie ascetycznie poważna, córka więcej niż dawniej fascynująca błyskiem oka, o nieco zimnym ogniu, matowym głosem dyskretnej, salonowej causerie, świetnej, wijącej się jak żmija, i niepochwytnej jak ona, a przykuwającej jak wzrok węża czychającego na ofiary. Radzca legacyjny na jotę się nie zmienił.....

* * *

Szary mrok padał do jego kawalerskiego mieszkania. Służący chciał wnieść światło, odprawił go. Wspomnienia jego robią się sentymentalne; te półcienia bez żadnych załomów, szerokie, jednostajne, ciche, smutne i przytłumione kołyszą go niejako, pozwalają mu się oderwać od teraźniejszości. Rzecz dziwna, że człowiek, który już się zużył w uczuciu, przywięzuje się do istoty, którą kochał, chociaż wie, iż tego niegodna.

On ją kochał wtedy nerwami, sercem głową, kochał ją wiedząc, że nigdy nie nazwie ją swoją, kochał ją, z całem pożądaniem potęgi młodzieńczej, wbrew rezygnacyi, do której wiedział, że będzie zmuszony. Kochał zupełnie bez nadziei, gdyż ani ona mu nie była wzajemną, ani jego położenie nigdy nie będzie takiem, aby mógł wziąć na swe barki uregulowanie losu rodziny. To bowiem było jasnem, iż panna ma zrobić dobrą, bardzo dobrą partyę. A pomimo tego, że w oczach jego dzisiaj była skalaną, wstrętną, czuł jeszcze wdzięczność dla niej, że go kiedyś natchnęła potęgą wielkiego uczucia, że go zrobiła takim jakim był, nerwowym, przedraźnionym, prawie nieszczęśliwym. Gdyby nie ona nie uczułby nic, jej zawdzięcza, że czuje.

Był tam jego przyjaciel, — inżynier młody, z bardzo szlachetnem sercem, z bardzo brzydką figurą i z twarzą niepiękną, lecz z wielkiem dla niej zaślepieniem i z takiem dla niej uwielbieniem, jaką czują

marne. Oto przyczyna niezliczonych kolizyi‘ dająca mu pohop do czarnej nieubłaganej krytyki, która z kolei nadaje utworom jego ów ponury charakter, przypominający Euripidesa i odwieczną „Ate“.

Atmosfera ta ciemna otacza już jego młodociany utwór. I wątpiąc, czy doświadczenie życiowe, poparte rozumowaniem, doprowadziło 20-letniego autora do tego pesymizmu, zamiłowania w czarnych barwach, przypisuję przyczynę tegoż bardziej usposobieniu Ibsena, autora satyrycznego „Peer Gynta“ i „Komedyi miłości“.

Bohaterką dramatu jest Furya, westalka, — mszcząca się na Catilinie za pohańbienie siostry. Przysięgła mu zgubę i całą istotą oddała się przeprowadzeniu tej zemsty. Kobietę tę przedstawia Ibsen jako uosobienie mściwości ponurej; nie ma w niej nic, prócz jednej myśli i jednego wrogiego pragnienia. Nazywa ją Nemezis, cieniem Catiliny i napół mistycznie łączy ją z pojęciem fatalizmu, nieubłaganej konieczności. — Tak w drugim akcie, kiedy Furia zbliża się do Catiliny, kłamiąc przyjaźń, rozgrywa się następujący dyalog:

Furia:.... Jedno niewzruszonem jest w życiu i śmierci.

Catilina: Cóż to? Mów.

Furia: Los twój, Catilina.

Catilina: Los mój znają tylko odwieczni bogowie, lecz żaden z ludzi.

Furia: Cieniem twoim jestem, — i znam go.

Jest ona duszą dramatu, osią, w około której akcya cała się grupuje. Z westalką tą przekleństwem jakiemś losu łączy Catilinę węzeł, którego on rozerwać nie może, a który ona zadzierzga coraz silniej. Wśród pochodu kapłanek Westy ujrzał ją na rynku rzymskim; że była jakby uosobnieniem jego pragnień, że widział w oczach jej dumę patrycyuszek dawnych i siłę mężów ze stali, więc odtąd opanowała jego istotą. Porywał go polot jej silnej duszy, a że wśród wszystkich Rzymian młodych Catilina jedyny jeden (którego pierwotnie nie znała z nazwiska) był mężem hartu, więc na schadzce w świątyni Westy stanęło pomiędzy nimi przymierze, że odtąd razem działać będą i zmierzać do upragnionego celu: odbudowania dawnego Rzymu z dzielnością jego dawną i wytrwaniem. „Tobie jednemu wierzę — mówi kapłanka — przyrzeknij mi jedno, przysięgnij, że dotrzymasz słowa.... Wiem że w Rzymie żyje człowiek. któremu do grobu zaprzysięgłam nienawiść... Bądź i ty jemu wrogiem, jak ja. Będziesz?“

Catilina składa w ręce bogów przysięgę; wtedy wydaje się westalce, że on, nie kto inny jest owym nienawistnym jej człowiekiem, — on, w którym sprzymierzeńca swego widziała. W uniesieniu zapomina o otoczeniu całem, o ogniu świętym, na którego straży stać winna, a gdy po wejściu Catiliny zjawia się chór kapłanek, zastaje ogień święty zagasłym. Furię za zbrodnią tę czeka śmierć najokropniejsza, bo pogrzebanie żywcem.

Tymczasem Curius, młody przyjaciel i wychowanek Catiliny, który tak samo, jak tenże nie oparł się urokowi kapłanki, ratuje ją od śmierci okrutnej, uprowadzając z grobowca, w którym już była zamkniętą. W ten sposób powstaje Catilinie mścicielka nieubłagana.

Catilina jest znudzony swem życiem hulaszczem i zrozpaczony nieziszczalnością swych pragnień. Oddaje więc ostatek fortuny weteranom pozbawionym ziemi, i wraz z dobrym swym duchem, małżonką Aurelią, postanawia uciec na kraj świata, choćby do Gallii, zapomnieć o tem, czem byli w Rzymie, i czem zostać mógł Catilina. Napróżno spisek młodych patrycyuszów, niezadowolonych z niedostatku, w jaki po roztrwonieniu majątku popadli, oddaje mu przywództwo. Aurelia tym razem zwyciężyła. Lentulus ma zostać głową rewolucyi. Tymczasem zjawia się Furia, kłamie przyjaźń wobec Catyliny, i za jej namową obejmuje bohater dramatu naczelne stanowisko w spisku.

Curiusowi oddanemu jej wielbicielowi, przeznacza Furia rolę Brutusa. Obiecuje mu siebie, jeżeli zdradzi Catilinę. Za tę cenę Curius zapomina o miłości i przyjaźni dawnej ku opiekunowi swemu. Gdy Catilina stoi obozem, daleko od miasta, za sprawą Curiusa otacza go wojsko rzymskie. Wyznaniem pragnie młody Curius zmazać winę swoją i otrzymuje wspaniałomyślne przebaczenie, nie zdradzając pobudki czynu swego.

W walce na śmierć i życie padają wszyscy sprzymierzeńcy spiskowca. Catilina sam zostaje przy życiu. Ale zostaje i Furia, ponure zemsty wcielenie. Od rozpaczy każe Catilinie uwolnić się śmiercią, a że i w Aurelii widzi łącznik z przeszłością powinna więc zginąć i Aurelia. Catilina zabija żonę a w pierś jego wpycha sztylet „Nemesis“ ziszczając przepowiednią, że zginie zarazem z obcej i własnej ręki.

Takim jest koniec utworu. Czy Catilina jest prawdziwie dramatycznym bohaterem, oto pytanie, które natarczywie nasunąć się musi. Jego zupełna zależność od Furyi, niby od fatum starożytnego, podaje w wątpliwość dramatyczność charakteru. — z drugiej jednak strony pamiętać należy, że lubo Ibsenowski Catilina pokutuje bezpośrednio tylko za te winy, które właściwie spowodowała westalka, to pokuta jego obejmuje także całe przeszłe życie.

I. Drzęski.

Z literatury rusińskiej.

Towarzystwo imienia Szewczenki.

Kto śledzi uważnie rozwój literatury rusińskiej w ostatnich czasach, ten musi przyznać, że zrobiła ona wielkie postępy. Do niedawna jeszcze była literatura rusińska w Galicyi, a tem bardziej na Ukrainie, rośliną tak wątłą i słabą, że nawet sami jej zwolennicy nie bez obawy spoglądali w przyszłość. Nie mogąc się rozwijać, w Rosyi, gdzie mieszka $^{5}/_{6}$ narodowości małoruskiej, a gdzie oprócz cienkich broszurek treści be-

---

ułomni dla klasycznie pięknych kształtów. A może to jest tylko żądza zepsucia, zdysharmonizowania swojem zbliżeniem regularności linij? Może to tylko zazdrość budzi w nich żądzę wielką, niepohamowaną? Ten jego przyjaciel Lorys był milionerem, on jeden miał z tych wszystkich, którzy się koło Etelki kręcili, dosyć szerokie barki, aby ponieść na nich wszystkie grzechy całej rodziny. Stało się, jak się stać musiało. Był ślub wspaniały, arystokratyczny. — wszystko odbyło się przyzwoicie. Ojciec pana młodego uregulował stosunki, — poczem syn radzcy legacyjnego na dalsze studya wyjechał do Ameryki, ojciec Lorysa nie chciał, aby szwagier jego syna nosił na sobie piętno fałszerza, nie chciał, aby radzca legacyjny teść jego syna, tracił swój spokój, matka ascetyczną powagę, lecz nadal zamknął kieszeń...

On bywał dalej u swego przyjaciela Lorysa. Przypuszczał, że Lorys jest szczęśliwy, bo otrzymał cacko, którego pragnął. Kochał swego przyjaciela z przyzwyczajenia i dla jego szlachetności. Nie zwracał zrazu uwagi na jego pożycie domowe, lecz po tem, czego się dowiedział, niewyraźne wspomnienia zaczęły w nim przybierać wyrazistsze formy. Majaczyła mu jej twarz, z wyrazem powstrzymanego siłą woli wstrętu, gdy Lorys zbliżał do niej się z pieszczotą. Było to ważne indicium. Jednakże nie umiał sobie zdać sprawy, czy spostrzeżenie to dopiero w chwili obecnej przybrało w nim formę pewną, czy też dawniej już w nim drzemało.

Te rozwagi naprowadziły go na myśl, iż na fałszywą wszedł drogę, chcąc ocenić jej winę. Gdy zacznie liczyć i zbierać refleksye wewnętrzne, wyrobi sobie na pewno przekonanie, że ona zdolną była do tego czynu, bo już dzisiaj nie umie sądzić bezstronnie, objektywnie. Wszystkie bowiem jego spostrzeżenia zabarwiły się jaskrawo owem spotkaniem. Fakta więc same będzie sumował.

Aha! Kiedy to pierwszy raz się spotkał po długiem niewidzeniu z owym oficerem od ułanów, którego widok przywodził mu na myśl bagno lśniące zielenią pokryte?... Wszedł pewnego razu do cichego domu, który jednakże cichym był tylko pozornie bo musiał się ukrywać z życiem, jakie w nim wrzało. A jakie tam życie było? — Grano. A jak grano! Pod wpływem wina i spojrzeń bachantek. — Rzadko on tam zachodził, zaledwo raz lub dwa razy do roku, i to wtenczas, gdy mu najwięcej ciążyło życie, gdy mu świat cały najwięcej obrzydł. Wchodził tam, aby jeszcze więcej wstrętu nabrać do świata, do ludzi, aby w sobie utrwalić przekonanie, że wszystko na świecie nędzne, a mianowicie ludzie. Widok ludzi wyzutych z wszystkiego, co człowieka uszlachetnia, zezwierzęconych pod wpływem rozszalałych nerwów, pobudzonych hazardem, alkoholem, atmosferą zepsucia, potwierdzał w nim jego wstręt do nich. Sprawiała mu dziką rozkosz świadomość, iż jego zapatrywania zgadzają się z rzeczywistością. Dla tego tam chodził, a może ulegał zwykłemu pociągowi podrażnienia przytępionych nerwów tem czemś, czem powietrze, salon takich towarzystw przepełniony...

Za stołem zielonym siedział wówczas mężczyzna o wyrazie twarzy i układzie, który interesuje siłą swego zepsucia, wyniszczenia, nicości. Był w nim cynizm bezgraniczny, przeżycie zupełne. Tak, on już nie zdolen był do odczucia jakiejkolwiek rozkoszy, lecz właśnie dla tego, że się to tak wyraźnie uwydatniało, budził chęć w histerycznych naturach pobudzenia go tak silnie, iż jeszcze ją odczuje.

Przyglądał mu się pilnie. Twarz mu była znajoma, lecz wówczas go nie poznał. Wie teraz o tem dobrze. Poznał go dopiero wtenczas, gdy z nią go ujrzał.

Od tego spotkania minęło kilka tygodni. Przechodził przez plac św. Stefana, dążył bez celu ku Praterowi. Przypadła do niego dziewczynka.

— Panie doktorze! panie doktorze! Matka moja — płacze dziewczynka — przecięła rękę, krew, ach krew idzie, dużo krwi...

Nie wie, zkąd go to dziewczę zna, może leczył jej matkę? Jego praktyka, to praktyka robotników, nędzarzy. Dąży za nią, dziewczę prowadzi go w podwórze. Wchodzi na jedno, drugie piętro, biegnie przez długi, szarawy korytarz słabo oświetlony. Zaduch nędzy czuć wszędzie. Izdebka ciasna, wązka. Okno wychodzi na małą przestrzeń zarzuconą węglami, szyby czarne od ich pyłu. Na tapczanie leży uboga wyrobnica, blada, prawa ręka jej opuszczona, z niej słabym strumykiem sączy krew. Kto wie czy to tylko przypadek? Może to samobójstwo? Nie czas w to wchodzić. Bada ranę, podwięzuje arterje przecięte, posyła

letrystycznej żadna książka rusińska nie może ujrzeć światła dziennego, literatura całej Rusi-Ukrainy skazana jest na nędzny żywot w Galicyi, zkąd tylko przypadkowo jakaś książczyna za kordon się przemknie. Nawet niewinne pismo beletrystyczne „Zorja“, nawet pisemko dla dzieci „Dzwinok“ utraciły debit w Rosyi...

Pomimo to wszystko świadomość narodowa Ukraińców wciąż wzrasta, a razem z tem zwiększa się i liczba autorów małoruskich z Rosyi, którzy drukują swe utwory w Galicyi. Z każdym rokiem wzrasta liczba wydawnictw rusińskich. Literatura rusińska pomału przestaje być kopciuszkiem prowincyonalnym i chyżym krokiem zdąża za literaturami innych, szczęśliwszych narodów. Język małoruski, który do niedawna był używanym jedynie w beletrystyce, zwolna staje się już zdolnym do wypowiadania rzeczy ściśle naukowych, wyrabia się stronnictwo naukowe, pojawiają się małoruskie rozprawy naukowe. Język naukowy kształtuje się w Galicyi, gdzie mowa rusińska rozbrzmiewa i z mównicy sejmowej i z katedry uniwersyteckiej. Ukraińcy, nie mający w domu sposobności tworzenia języka naukowego, korzystają z prasy Galicyan i przyjmują ich nomenklaturę.

W r. 1893 istniejące od lat kilkunastu „Towarzystwo imienia Szewczenki“ zostało przekształcone na instytucyę, która miała się zaopiekować nauką rusińską i stać się zaczątkiem Akademii umiejętności. Dwa lata minęły od tej chwili, a „Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki“ może się już poszczycić bardzo donośnemi wynikami swej pracy.

Nie bez obaw przystępowano do pracy w nowym kierunku. Wątpiono o tem, ażeby na Rusi mogła się rozwinąć działalność naukowa na szerszą skalę. Brak było funduszów, — brak pracowników. Dwa pierwsze tomy „Zapisków“ przedstawiały się dość słabo. W działalności „Towarzystwa“ nie było jeszcze żadnego z góry wytkniętego kierunku.

Ale już wkrótce „Towarzystwo“ poczyna się widocznie wzmagać na siłach. Dzięki energicznej agitacyi prezesa „Towarzystwa“ prof. Aleksandra Barwińskiego, rusińska instytucya naukowa otrzymuje zasiłek pieniężny od ministeryum i od sejmu. Również dzięki zachodom dr. Barwińskiego „Towarzystwu“ udaje się pozyskać dzielną siłę w osobie profes. Michała Hruszewskiego, wykładającego na uniwersytecie lwowskim historyę Rusi. — Praca „Towarzystwa“ idzie coraz raźniej, współpracowników wciąż przybywa, liczba wydawnictw stale się zwiększa.

Świeżo wyszedł tom X. „Zapisków“. W dotychczasowych tomach tego wydawnictwa umieszczono kilkadziesiąt prac mniejszych i większych różnorodnej treści. Na szczególną uwagę zasługuje obszerna rozprawa dr. Aleks. Kolessy p. t. „Mickiewicz i Szewczenko“, charakteryzującą wpływ wieszcza naszego na twórczość poetycką kobziarza Ukrainy, tegoż autora „Ludowe pieśni ukraińskie w poezyach Bohdana Zaleskiego“, monografia dr. Iw. Franki o Barlaamie i Józefacie“, praca W. Budzynowskiego „Stosunki agrarne Galicyi“, pierwsze naukowe opracowanie materyałów do biografii Szewczenki Al Koniskiego: historyczne prace M. Hruszewskiego, Iwanowa, Panaczownego, Łotockiego i t. d. Wzorowo jest prowadzony dział sprawozdań i recenzyi, uwzględniający wszystko, co się odnosi do historyi, literatury, fizyografii i antropologii Rusi-Ukrainy. Obecnie „Zapiski“ są kwartalnikiem, ale już w najbliższym czasie „Towarzystwo“ doprowadzi do tego, że tom „Zapisków“ będzie się ukazywał co dwa miesiące, przyczem monografie większej objętości będą wydawane osobno.

„Towarzystwo“, dzielące się na sekcye: filologiczną, historyczno-filozoficzną i przyrodniczo-matematyczno-lekarską, dąży do tego, aby każda dziedzina wiedzy posiadała własny organ. Początek już zrobiono, wydzielając prace z obrębu prawa w specyalny rocznik p. t. „Rozprawy prawnicze“.

„Towarzystwo“ zawiązało w swem łonie komisyę archeograficzną, która ma się zająć wydawnictwem źródeł do dziejów i języka Rusi. Tom pierwszy „Źródeł dziejowych“, zawierający lustracye królewszczyzn w ziemi halickiej i przemyskiej w latach 1565—6 zebrane i ułożone przez M. Hruszewskiego, a poprzedzone artykułem o położeniu ekonomicznem włościan na Podniestrzu galicyjskiem w XVI wieku, już wyszedł. Tom drugi jest już pod prasą. Jako pierwszy tom „Zabytków języka i literatury rusińskiej, drukuje się obszerny zbiór apokryfów, zebrany i opracowany przez dr. Iw. Frankę.

„Towarzystwo“ nie zapomina i o ludoznawstwie. Wydawszy cenny tom „Zbioru etnograficznego“ ma na przyszłość co roku wydawać po dwa tomy materyałów etnograficznych, umieszczając jednocześnie naukowe rozprawy etnograficzne w „Zapiskach“. „Towarzystwo“ udzieliło zapomóg młodym etnografom, którzy odbyli wycieczki na zapomnianą Ruś węgierską.

Taką jest dotychczasowa działalność naukowa „Towarzystwa“. Oprócz tego „Towarzystwo“ wydaje dwutygodnik beletrystyczny „Zorja“, w którym umieszczają swe prace wszyscy autorowie małoruscy z obu stron kordonu. Przy „Zorji“ wychodzi „Słownik rosyjsko-ukraiński“. „Zorja“ ogłasza od czasu do czasu konkursy na utwory beletrystyczne, które, jak dotąd zostały uwieńczone skutkiem bardzo pomyślnym. Dla szerokiej publiczności przeznaczoną jest „Biblioteka historyczna“, zawierająca tłumaczenia monografii pisarzy rosyjskich (Kostomarowa, Antonowicza), które dotyczą dziejów Ukrainy.

Gdyby nie to, że wszystkie wydawictwa „Towarzystwa“ są „absolutnie zabronione“ w Rosyi, „Towarzystwo im. Szewczenki“ rozwijałoby się jeszcze lepiej i prędzej. Na razie wobec tak ciężkich warunków pracy, kiedy autorowie ukraińscy, biorący udział w „Zapiskach“, muszą ukrywać swe nazwiska pod kryptonimami, i te rezultaty, jakie osiągnęło „Towarzystwo“, pozwalają rokować mu świetną przyszłość.

Leon Wasilewski.

---

dziewczynkę po środki antyseptyczne. Tymczasem chora omdlała. Trzeba ją orzeźwić, lecz czem? Ogląda się, nie ma niczego pod ręką, nawet wody. Wybiega na korytarz, błąka od drzwi do drzwi, stuka — wszędzie ciemno. Robotnicy jeszcze nie wrócili do domu. Ha, tam na przedzie słaby promyczek światła pada przez otwór od klucza. Biegnie tam.

— Na miłość Boga, otwórzcie!

Nikt się nie odzywa, potem słyszy lekki szmer. Jest tam więc ktoś, lecz kto? Czemu nie otwierają? On w trosce o ranną; może krew znowu popłynie, a nie wiele jej tam zostało.

— Otwórzcie!

Nic, tylko głucha cisza. Pchnął silnie, drzwi ustępują pod naciskiem. Prąd matowego światła rozjaśnia pokój. Ktoby się spodziewał w tym domu podwórzowym takiego przepychu! Dziwna woń cały pokój napełnia. Na sofie widzi kobietę pięknę, w koronkowym negliżu, tulącą się z przerażeniem do mężczyzny. Twarze nie są mu obce. Na stole spostrzega wino. Wbiega do pokoju, chwyta butelkę na pół pełną, wraca do chorej i cuci omdlałą. — Tymczasem dziewczynka wraca z apteki, on ranę wymywa, zakłada bandaż i uśmiecha się do siebie zadowolony. Uratował życie biedaczce, ha, ha, może na to, żeby z głodu umarła. Przypomina ją teraz sobie, była jakiś czas posługaczką w domu, w którym mieszkał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BADANIA NAUKOWE.

Medycyna ludowa.

Warszawskie czasopismo „Zdrowie“ podało ciekawe i znamienne szczegóły z dziedziny znachorstwa i szarlatanizmu lecznniczego śród ludu w zaborze rosyjskim, a mianowicie w gub. Łomżyńskiej. O „babkach“ wiejskich czytamy tak straszne rzeczy, że się dziwić trzeba, iż dotąd te specyalistki nie dostały się do ciężkich robót; każda bowiem z nich niejedną matkę zgładziła ze świata, zadawszy jej wprzódy straszne tortury. Oto kilka szczegółów o ich metodzie leczniczej:

„Jeżeli położenie jest dobre, a poród postępuje prawidłowo, wówczas babka oprowadza położnicę w bólach po izbie; gdy słabnie — wtedy używa kobiety do pomocy, ale leżeć nie pozwala. Często taka przechadzka kończy się porodem w jakim kącie.“ Zwykle kobieta podlega wielkim krwiotokom i traci siły na całe życie. Jeżeli poród odbywa się nieprawidłowo, „babka“ bada brudnemi palcami, a nawet całą ręką, opowiada obecnym, że wątroba zaszła na płód, albo kiszki pokręciły się; ona to delikatnie rozprowadzi na swoje miejsce. Rezultatem tego bywa wypadnięcia sznura, rączki dziecka lub zmiana położenia, przerwanie pęcherza itd. Zdarzało się nawet, że specyalistka taka nożem otworzyła położnicy jamę brzuszną. Wezwany lekarz stwierdził już tylko fakt, i następnie śmierć. Jeżeli poród przeciąga się zbyt długo, a ktoś z rozsądnych wspomni o akuszerce lub doktorze, „lekarka“ woła z oburzeniem do męża chorej: „To tak wam żona miła! Ja się zabieram, idę. Chcecie doktora, żeby wam kobietę pokrajał, poszarpał, a dziecko porwał na kawałki.“ Swoją wymową potrafi tak zohydzić lekarza, że gdy go istotnie wezwą za namową księdza lub „dziedziczki“, to chora rozpacza, płacze, wreszcie na widok przybysza chce uciekać z łóżka. Rola więc lekarza jest bardzo trudna i przykra, bo zastaje on najczęściej pokaleczoną, z poszarpanemi przez „babki“ wnętrznościami, słowem, gdy już niema żadnego ratunku. Wtedy babka woła, że doktor w godzinę zamęczył kobietę, a ona trzy dni koło niej chodziła z innemi babami i było dobrze.

P. Marya Sokołowska, która ujawniła te szczegóły, pisze: „Sama znam wypadek, gdzie lekarz wezwany do położnicy, mordowanej od dni kilku, wziął się do zbadania, ona zaś w tej chwili wyzionęła ducha; baby miotłami zmusiły go do ucieczki, krzycząc: „Zbóju, zabiłeś chorą!“ Pomoc lekarza, np. założenie kleszczy, przecięcie wrzodu lancetem, uważane jest jako czyn barbarzyński, bezlitośny. Gdy zaś baba używa tępego noża, służącego do skrobania kartofli, wyrwie dziecku nogę, okaleczy na całe życie, zabije, wtedy zrezygnowani mówią: „Wola boska!“ Babka przyrządza dla noworodka „smoczek“, na który się składa: bułka, cu-

kier, masło, pogryzione i pożute w jej ustach i zawinięte w brudną szmatę. Działalność tej specyalistki jeszcze dalej sięga. Jeżeli po ciężkim połogu kobieta jest blada, osłabiona, doznaje bicia serca, szumu w uszach i wszelkich innych oznak anemii, babka twierdzi, że „krew się burzy“, więc trzeba przystawić kilkanaście pijawek do krzyża lub dołka sercowego. W chorobach dzieci również jest powagą i robi tak zwane „przemierzanie.“ Tym sposobem niejednemu dziecku wyciągnęła rękę lub nogę, nabawiła kalectwa na całe życie, a nawet przyprawiła o śmierć. Nikt jednak za to na nią nie narka. Leczy ona czasem mężczyzn tłustym napojem lub wódką grzaną z korzeniami, co ma w nich — mężczyznach — uspokoić macicę, „która się poruszyła i wojuje“ Wogóle według anatomii lekarki wiejskiej, organ ten, wspólny obu płciom, posiada wszechwładzę: chodzi po całem ciele, ma swoje rozgałęzienia aż w wielkim palcu u nóg, gdy mu co się nie podoba, to skrzeczy jak żaba, czasem bywa olbrzymi, aż do gardła dochodzi, to znowu kurczy się i chowa w lewy bok. Smielsze baby puszczają krew z nóg i rąk, wyrywają zęby, robią różne operacye „kozikiem.“ Inne mniej odważne, gdy jest źle przy porodzie, wzywają zwykle taką operatorkę, która haczykiem wyciąga dziecko, zapałkami otwiera pęcherz, gdy się zamknie w chorobie, poi dekoktem z wężów lub kocich ekskrementów itd.

Po za tą praktyką szeroko się rozpostarła znachorska, która tak jest charakterystyczną, że warto chociaż ważniejsze środki lekarskie podać. Na febrę jest ich aż osiem, których pięć zaznaczamy: Łeb koński nadgniły odnaleźć na polu, ogryzać go przez pół godziny, następnie rzucić go po za siebie i nie oglądając się, powrócić szybko do domu. Pająki oblepić chlebem, dać zjeść choremu, ażeby o tem nie wiedział. Dziesięcioro przykazań bożych, co wiszą na drzwiach w izbie żydowskiej, ukraść, spalić i wypić z wódką. Farbkę, używaną do prania bielizny, rozpuszczoną w wodzie, dają pić choremu. Zgniłe flaki wołowe ugotować i wypić tę wodę. Na gorączki połogowe: Mech skrobany z pod siedmiu krzyży z wódką. Krew położnicy z wódką. Wszy gotują się pod szpuntem w wodzie i ten odwar dają pić chorej. Na tak zwane „poruszenie“ — ogólną niemoc: Tarty siny kamień z wódką albo proch (strzelniczy) z barszczem. Oparzeliznę obsypują solą i przypiekają przy ogniu, także oblewają atramentem, smarują smołą lub zasypują wapnem, skrobanem z pod ściany. Na boleści maciczne dają pić ekskrementy kocie z wodą. W innem cierpieniu tego rodzaju chorą wieszają za nogi na drabinie, a głowę spuszczają na dół. Na dysenteryę dają wypić kwaterkę słoniny roztopionej. Ranę, która się nie goi, okładają gnojem końskim.

Szczegóły powyższe, charakteryzujące medycynę ludową, pochodzą z gub. Łomżyńskiej i prawdopodobnie są podstawą lecznictwa ludowego w całym kraju. Podpatrywanie ich i ujawnianie można nazwać czynem prawdziwie obywatelskim, gdyż suma takich faktów powinna dać bodziec do walki z ciemnotą. Zanim ją rozproszą promienie światła, zwykle bardzo słabe i powoli działające, należałoby przedsięwziąć środki energiczne, prawne. Działanie bab wiejskich wkracza w dziedzinę kryminalistyki: ale ściganie przez sąd nie wystarczy; trzeba więc jednocześnie wprowadzić i ten środek, o którym już nieraz mówiliśmy: wzmocnić i rozwinąć racyonalną pomoc lekarską, nadto każdą gminę zaopatrzyć w zdolną i sumienną akuszerkę, która czuwałaby przynajmniej nad naturalnym przebiegiem choroby i stosowaniem hygieny elementarnej. Suma strat, wyrządzonych w zdrowiu ludzkiem przez znachorstwo, jest tak olbrzymia, że nawet umożliwiające istnienie stałe pensye dla zwiększonej liczby lekarzy i akuszerek na wsi, byłoby zaledwie skromnym procentem od niej.

Sumą ową, wydartą z podstaw bytu ekonomicznego, jest: 1) utrata zdrowia matek, których produkcyjność w gospodarce jest słaba, a zarobki, jako najemnicy — małe. 2) Niedołęztwo, kalectwo, idyotyzm dziatwy, a następnie młodzieży, pokrzywdzonej fizycznie w niemowlęctwie. 3) Znaczne honorarya (o jakich nawet lekarze wiejscy nie marzą) w naturze i gotówce, wydarte przez baby, znachorów i felczerów. 4) Słaba odporność na wszelkie choroby: matek wycieńczonych przy połogach i dziatwy źle pokierowanej, a zatem większa śmiertelność, ztąd zaś zupełna utrata znacznej części produkcyjnych sił robotniczych, wzrost kosztów kuracyi i utrzymania niezdatnych do pracy członków rodziny. To są tak poważne i dotkliwe zjawiska społeczne, że nietylko trzeba je ujawniać i pisać o nich, lecz i przeciwdziałać czynem energicznie, bo niezaradność i bezwładność, przedłużające stan obecny, sprzyjają bezustannemu wzrostowi tych strat moralnych i materyalnych ogółu ludności wiejskiej.

P.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Organizacya i reforma kredytu rolnego *w Niemczech*

I.

Dwa rodzaje instytucyi kredytowych udzielają własności ziemskiej pożyczek pod ubezpieczenie hypoteczne. Towarzystwa kredytowe Ziemskie (Landschaften) i Banki hypoteczne (Hypotheken-Banken). Instytucye te posiadają prawny przywilej wypuszczania papierów procentowych („listów zastawnych“), których wartość nominalna odpowiada wysokości sum zahypotekowanych. W ten sposób działalność instytucyi tych polega na pośredniczeniu w operacyach kredytowych przez hypoteczne lokowanie kapitałów zebranych zapomocą listów zastawnych.

Olbrzymia różnica między temi instytucyami tkwi w różnorodności ich celów. Banki hypoteczne, jako przedsiębiorstwa prywatne dążą do osięgnięcia najwyższej dywidendy dla swych akcyonaryuszów, Towarzystwa Ziemskie zaś mają na celu dostarczanie kredytu rolnego po możliwie nizkiej cenie. Pierwsze funkcyonują w interesie kapitalistów, drugie, opierając się na zasadzie wzajemności — w interesie dłużników.

Towarzystwa Ziemskie są kreacyą epoki fryderykowskiej. W pierwotnej swej formie jest to instytucya z kredytem zabezpieczonym przez całą własność ziemską okręgu, na który rozciąga się jej działalność. Zarząd, wybrany przez właścicieli ziemskich realizuje kredyt całej własności ziemskiej swego okręgu a osiągnięte w ten sposób kapitały wypożycza pod zabezpieczenie hypoteczne imienne. Będąc własnością wspólną, Towarzystwo nie dąży do osięgnięcia najwyższego procentu z wypożyczonych kapitałów, bo dłużnicy są jednocześnie współwłaścicielami. Modyfikacye zaszłe w przeciągu lat 100 istnienia tych instytucyi, nie zmieniły zasadniczych rysów.

Korzyści wynikające z charakteru tych instytucyi są jasne:

1) Po za pokryciem własnych kosztów Towarzystwo nie potrzebuje żadnego zarobku. A zatem, jeśli samo płaci swym wierzycielom (właścicielom listów zastawnych) — $3\,^1/_2$—3%, to pobiera od swych dłużników 4—$3^1/_2$%

2) Dochód z kapitału zakładowego (darowizny królewskiej, eigenthümliche Fonds,) przypada również dłużnikom do podziału i odpisywanym jest na ich korzyść przy ostatecznym obrachunku.

3) Amortyzacya i spłata kapitałów odbywa się na najdogodniejszych dla dłużnika warunkach. Dłużnikowi wolno w każdej chwili spłacić Towarzystwo, to zaś tylko w razach wyjątkowych, np. przy dewastacyi majątku, ma prawo wymówić pożyczkę.

4) Towarzystwo niema prawa odmówić kredytu do wysokości $^2/_3$ wartości majątku ziemskiego. (Towarzystwo Prus Zachodnich udziela $^6/_1$, W. Ks. Poznańskiego $^5/_{1}$, w razie jeśli wartość majątku niższą jest od 30 tysięcy marek.

5) Towarzystwo dąży w interesie dłużników do obniżenia stopy procentowej listów zastawnych. (Obecnie projektowana konwersya z $3^1/_2$% na 3%, dała by możność wypożyczania na $3^1/_2$% zamiast 4%.

Korzyści te są też powodem, dlaczego własność ziemska korzysta z kredytu Towarzystwa z pominięciem Banków hypotecznych. Towarzystwa monarchii pruskiej pożyczyły obecnie ogółem 2 miljardy marek, podczas gdy Banki hypoteczne wypożyczyły własności ziemskiej zaledwo około 160 milionów[1]) i wobec tego skierowały działalność swą na zaspokojenie kredytu miejskiego.

Towarzystwa kredytowe spotykają się z jednym bardzo ważnym zarzutem: nie uwzględniają one interesów mniejszej i małej własności ziemskiej, a raczej ignorują ją zupełnie. Wynika to zarówno z organizacyi Towarzystwa, jako instytucyi należącej do większych właścicieli ziemskich, jak i z odnośnych paragrafów ustaw, zgodnie z którymi najniższa wartość nieruchomości, mogącej korzystać z dobrodziejstw taniego kredytu ustanowioną jest na 75 lub 150 mrk. podatku Grundsteuerreinertrag).[2])

W ten sposób obywatelstwo krzywdzi „młodszych braci“, bo oddaje ich na pastwę lichwy lub w najlepszym razie skazuje na płacenie wysokich procentów Bankom hypotecznym i $^2/_3$ % prowizyi agentom.[3])

Towarzystwo kredytowe W. K. Poznańskiego i Tow. Wschodnich Prus, choć w szczupłym zakresie, udzielają kredytu mniejszej własności; w Prusach Zachodnich, na Pomorzu i w Brandenburgii istnieją oddzielne instytucye kredytowe.

Towarzystwa kredytowe wypożyczyły mniejszej własności ogółem 200 milionów. Co za stosunek do dwóch miliardów! To też prawie całe 160 milionów Banków hypotecznych obciążają mniejszą własność, bo większa ma prawo korzystania z tańszego i wygodniejszego kredytu. Gdy więc stosunek obrotów Towarzystw kredytowych do Banków hypotecznych daje $\frac{2000 \text{ mil.}}{150 \text{ mil.}}$ tenże stosunek dla mniejszej własności wynosi $\frac{200 \text{ mil.}}{160 \text{ mil.}}$

Banki hypoteczne płacą dywidendy swym akcyonaryuszom $9^1/_2$ %, bo dłużnikowi po większej części niewolno spłacić pożyczki, choćby był w możności, gdyż prawodawstwo zapomniało o tem, aby dać mu prawo zerwania kontraktu i spłacenia pożyczki. Prawo z d. 2 marca 1850 r. § 92 opiewa, że najwyżej na lat 30 wolno odebrać dłużnikowi możność zwrotu kapitału

[1]) A mianowicie: Central Bodenkredit 140 milionów. Schles. Hypothek B.: 15 mil., inne banki ogółem 5 miljonów marek.

[2]) Wyjątkowo tylko Towarzystwo na Szlązku ustanowiło w 1895 roku 15 mk. podatku jako najniższą granicę.

pożyczonego. *Temu postanowieniu nie podlegają jednak instytucye kredytowe.*

(Die Kündigung von Kapitalien, welche einem Grundstücke oder einer Gerechtigkeit auferlegt werden, kann künftig nur während eines bestimmten Zeitraumes, welcher dreissig Jahre nicht übersteigen darf, ausgeschlossen werden. — *Diese Bestimmungen finden auf sämmtliche Kreditinstitute keine Anwendung.* Gesetz vom 2. März 1850 § 92).

Kilkakrotnie miały miejsce procesy w odnośnej kwestyi: Dłużnik będąc w możności zwrócenia pożyczki, chciał być wolnym od wiecznego płacenia procentów. Ponieważ jednak zaciągając dług, zmuszony był do uznania go za wieczysty, sąd rostrzygnął przychylnie dla Banku i w ten sposób oddał dłużnika w feudalną zależność od kapitału. Zależność ta w niczem nie różni się od średniowiecznej, na którą spółczesna cywilizacya spogląda przecież z uśmiechem wyższości.

Reforma, zarówno w organizacyi, jak i w prawodawstwie kredytu rolnego jest rzeczą konieczną, a przewodnią jej gwiazdą powinny być pobudki społecznej natury, jako jedynie miarodajne na schyłku dziewiętnastego wieku.[4]) *K. R.*

TO I OWO.

Paweł Kośmiński.

Przed dwoma tygodniami zmarł Paweł Kośmiński, poeta iście warszawskiego typu, dobrze znający smak publiczności, estetycznie mało wyrobionej, i który umiał się do jej tonu nastroić. Miał on rubaszność i humor, szczerość i dobroduszność tych sfer, dla których tworzył, miał i sentyment odpowiedni, nie wysokiego lotu może, ale bardzo serdeczny. Te wszystkie nuty, a zwłaszcza nuta humoru, zapewniały mu wielką popularność, i pseudonimy jego — Paul de Coś i Nic — Heine były znane szeroko. Ale niestety, ta popularność była źródłem ruiny jego talentu. Obdarzony niezmierną łatwością tworzenia, niesłychanie płodny i pomysłowy — pisał on zbyt wiele i łatwo przechodził w szablon. Ten właśnie ton warszawski, przeciętnie popularny, szablonowo-wulgarny stopniowo wyjałowił talent pisarza, który mógł daleko piękniejsze zająć miejsce w literaturze, aniżeli zajął w istocie z winy własnej i niewłasnej. Otoczenie warszawskie wysysa talenty i lot ich obniża do własnego poziomu. Paweł Kośmiński był to talent wcale nie powszedni, który w tem morzu jałowej gorączki pogrążył się i coraz niżej się staczał. Był w nim materyał na ludowego poetę i dramaturga w dobrym stylu. Jego „Walka o córkę“ miała wielkie powodzenie, a jego wiersze nieraz szczerem uderzają natchnieniem. Ale, niestety, w rzeczach teatralnych gonił on za ordynarnym efektem, a talent poetycki rujnował w marnych konceptach humorystycznych.

Zalem wielkim przejmuje myśl o takiem zmarnowaniu talentu, od czego zapewne pragnął się poeta ratować, przerzucając się na pole liryki. Swieżo księgarnia Paprockiego wydała zbiór jego poezyi, gdzie

---

3) Gdzie zaś agenci pobierają prowizyę od swych banków prowadzi to do narzucania się z kredytem tam, gdzie go nie trzeba. Najlepszem jest w danym razie wyznaczenie stałej pensyi agentom.

4) F. Hecht, Art. Landsch. } Conrads Handwörterbuch der polit. Oekon.
Hermes, " " }

Wegener, Organisation des Landwirthschaftlichen Kredits. Ein Vortrag.

się niemało znajdzie rzeczy błahych, ale są i takie, które świadczą o cierpieniach i aspiracyach autora (Nieśmiertelna np.). Jakby śmierć swą przeczuwając, pisze poeta, jakiej pragnie nagrody od świata:

...Kiedy grobowy
Kamień na wieki pierś mą przygniecie,
Nie pragnę żadnej pochwalnej mowy
I niech mogiły nie stroi kwiecie...
A za nagrodę żywota całą,
Co szedł śród burzy wieczystych fal,
Pragnę, by jedno po mnie zostało:
Żal.

Żal — wielki żal po nim zostanie: żal zmarnowanego życia i talentu.

* * *

Baron Hirsch.

O zmarłym baronie Hirschu, znanym milionerze i filantropie żydowskim zamieszcza Bolesław Prus następujące uwagi w petersburskim „Kraju“:

„Widziany zblizka, Hirsch miał być człowiekiem bez wychowania, gburem i pyszałkiem. Pewnego razu do kobiety, znajdującej się w jego domu jako gość, miał powiedzieć:

— Zkąd pani ma ten naszyjnik?... Bo ja nie pamiętam, ażebym go kupił.

Zawsze i wszędzie ubiegał się o stosunki z arystokracyą. Jego rozkoszą była przyjaźń z książętami, osobliwie z księciem Walii. Jego cierpieniem było to, że jakiś elegancki klub paryzki nie przyjął go na członka.

Hirsch nie musiał być zanadto skrupulatnym w sprawach finansowych, czego dowodzi fakt, że dorobił się kilkuset milionów franków majątku. Miliony zaś, jak twierdzi pewien mędrzec, jest to kwiat, rosnący głównie przy tym gościńcu, który prowadzi od kryminału do szubienicy. Co wreszcie może nie być prawdą.

W rezultacie, tyle razy wymieniony Hirsch, nie był idealnym człowiekiem. A jednak należy on do tych, którzy w historyi swego ludu zajmą poważną stronicę.

Słuszność nakazuje wyznać, że Hirsch grywał w karty, trzymał wyścigowe konie i lubił balet. Mimo to nie zrywał ze swoim narodem, ale składał mu wiele rzetelnych usług — ba! nawet pragnął polepszyć jego byt na wielką skalę.

W tym np. celu ofiarował 12 milionów franków na organizacyę szkół rzemieślniczych i handlowych dla żydów w Galicyi. Gdyby galicyjscy magnaci jednocześnie złożyli dwa lub trzy razy większą sumę na podobne szkoły dla chrześcian, ofiara Hirscha byłaby dla wszystkich błogosławioną. Ponieważ jednak magnaci galicyjscy o niczem podobnem nie pomyśleli, więc 12 milionów hirszowskich wytworzyło dla Galicyi niebezpieczeństwo społeczne, potęgując siłę już i bez tego silnych żydów.

Dar Hirscha był bardzo groźnym dla Galicyi. Niemniej jednak był to dar szlachetny, bo miał na celu moralnie i materyalnie podźwignąć jakąś gromadę ludzkich istot.

Smutny to stan stosunków, że gdy żydzi zyskują miliony, na chrześcianach cierpnie skóra.

Stanu tego jednak Hirsch nie wytworzył i dla tego nawet niebezpieczna jego ofiara zasługuje na szacunek.

Bez porównania donioślejszym był pomysł Hirscha, żeby zakupić wielkie obszary ziemi w Argentynie i tam osiedlić żydów.

Gdyby się to kiedy udało zrobić, Hirsch, bez przesady, zasłużyłby na nazwę drugiego Mojżesza. Dając żydom ziemię, pociągnąłby ich do rolnictwa i zrobiłby naród normalny z tych, którzy tworzą zaledwie kastę.

Trzeba bowiem pamiętać, że „naród normalny“ składa się z rolników, rzemieślników, kupców i osób, pracujących umysłowo, a tymczasem żydzi zajmują się — tylko handlem.

Wyglądają oni jak człowiek, któremuby ucięto ręce i nogi; Hirsch zaś jest niby lekarz-cudotwórca, który chciał naród swój wyleczyć z nieszczęsnej potworności. Prawda, że nie doczekał on żadnego owocu ze swych siewów; w każdym razie wskazał nową drogę, na której żydzi mogą odzyskać „ziemię obiecaną“ — ziemię, którąby uprawiali własnemi rękoma.

Czasami, patrząc dokoła siebie, mam ochotę niejednego zazdrościć żydom, Prawda, że los ich nie jest słodki: nędza, ciemnota, niechęć sąsiadów, a w dodatku niebezzasadna niechęć — oto niedole, gniotące ogół żydowski.

Dla kompensaty jednak mają oni kilka rzeczy dobrych: ich magnaci nie trwonią pieniędzy – owszem, wedle możności starają się o pomaganie biedniejszej braci“.

NA WYŁOMIE.

(O naszych pismach humorystycznych.)

Ile razy dowiaduję się, że na bruku poznańskim powstać ma nowe pismo humorystyczne, tyle razy ogarnia mnie uczucie niesmaku, jakbym ujrzeć miał nagle tresowaną małpkę udającą baletnicę lub małomiejskiego wieszcza o długich włosach, podniesionej ręce i melancholijnem spojrzeniu, deklamującego z emfazą swoje rymy na -ała, -iła i -ości. Obecnie znów wieść podobna kursuje po Poznaniu. Kto będzie redaktorem, kto współpracownikiem, nie wiem, lecz tak często spoglądałem na kalectwo naszego humoru, tyle „Motylów, Pokrak i Kuryerków teatralnych“ wyprawiało przedemną harce smorgońskie, tyle razy zamiast śmiechu Rodociów i Lamów słyszałem żabie koncerty i kocie muzyki, że przestałem wierzyć w humor poznański i lękam się każdej próby w tym kierunku.

Śmiech jest dobry, śmiech jest zdrowy,
Uspokaja słabe nerwy,
Cały Olymp bóstw różowy,
Nie wyjmując i Minerwy,
Smiać się lubi....

O! tak, lecz jakże tu smiać się było z tych konceptów humorystów naszych, którzy n. p. przepisywali z encyklopedyi milowy wykład botaniczny o dyni i na zakończenie ni ztąd ni zowąd przypinali uwagę, że dynia może być także symbolem tuszy, o czem jeden z redaktorów poznańskich pamiętać powinien. A gdzież jest człowiek, który raz jeden chociaż zaśmiał się serdecznie przy owych mdłych i wodnitych dyalogach Pawłów i Gawłów poznańskich, z których jeden był banalniejszy od drugiego. Paweł np. tłomaczył Gawłowi statuty nowego prawa o markach służebnych, a Gaweł udawał idyotę i pytał, czy te marki są z papieru czy jedwabiu. Bezdennym kretynizmem jednak górowały ponad wszystkiem ryciny naszych pism humorystycznych. Panowie redaktorzy, wierni zasadzie „billig und schlecht“ sprowadzali sobie stare klisze od drugorzędnych niemieckich „Witzblattów“ i dorabiali lokalne niby-dowcipy. Ten sztukowany polsko-germański humor jest prawdopodobnie unikatem w dziejach piśmiennictwa polskiego. Pamiętam obrazek przedstawiający dwóch studentów niemieckich, w burszowskich strojach z posiekanemi twarzami, a pod tem dyalog następujący:

Kuba: Kto ci tak gębę posiekał.

Walek: A no! byłem na przedwybor-

czem zebraniu i tak mnie urządził jeden z Szymańczyków.

Bursze niemieccy jako Walek i Kuba, — rapierowe cięcia, jako ślady pięści Orędownikowej — oto typowa ilustracya poznańskiego humoru. A przytem ileż to razy te same ryciny z odmiennym tytułem powtarzały się na stronnicach „Pokrak“ rozmaitych. Redakcye dysponowały zwykle mniej-więcej tuzinem klisz wytartych, i gdy się szereg skończył, zaczynały od nowa litanię. Dziś jeszcze znam jedno z pism politycznych, które w dziale humorystyki posługuje się tą samą metodą. Aż mdło się robi na widok tych rycin i dowcipów.

Obok bezgranicznej czczości i wręcz wyjątkowego idyotyzmu naszych pism humorystycznych z ostatniego dziesięciolecia, charakteryzuje je jeszcze jeden rys znamienny, gorszy od tamtych, bo wkraczający w niziny błota moralnego, — mówię o paszkwilu. W Poznaniu pojęcie humoru zrosło się do tego stopnia z pojęciem włamywania się do tajemnic domowych i plwania z za płotu na ludzkie ofiary, że każdy redaktor humorystycznego pisma stara się przedewszystkiem o wytrych i dostateczną do rzemiosła ilość śliny. Piasek i błoto wypełnia całe numery — oto jest humor poznański.

Przyczyna tego ubóstwa i brzydoty naszych „Pokrak“ i „Kuryerków“ tkwi niewątpliwie w tem, że do redakcyjnej roboty w tym kierunku nie zabierali się nigdy literaci, tylko spekulanci z pod ciemnej gwiazdy, otoczeni czeredą drobnych pismaków, których nikt nie znał, a poczuł dopiero po kamieniach rzucanych ręką ukrytą. Jest to charakterystyczną cechą, że ilekroć na bruku poznańskim powstaje pismo humorystyczne, zawsze ludzie łamią sobie głowy nad osobą redaktorów, a gdy wreszcie nazwiska przestają być tajemnicą, znowu odzywa się pytanie: Kto to? Nikt o nich zwykle nie słyszał, a każdy przynajmniej dowiaduje się po raz pierwszy, że należą oni do dziennikarskiej drużyny. Z nocnych cieni wychodzą jakieś postacie i uszczęśliwiają humorem stolicę Księstwa.

Dwa lata temu — przypominam sobie — zajrzał raz do redakcyi młody człowiek znany mi zaledwie z widzenia. Wiedziałem, że zajmował się kupiectwem i agenturami, więc przypuszczając, że chodzi mu o anons jaki, już miałem na ustach adres administracyi naszej, gdy wtem gość mój kłania się grzecznie i oświadcza, że ma do mnie osobisty interes, że szuka pomocy i rady.

— Słucham.

— Widzi pan — mówi — postanowiłem założyć pismo humorystyczne i chciałem zapytać się, jak się mam zabrać do tego. Pan wie, — ja tam nie jestem żadnym literatem, — no, ale pismo humorystyczne to każdy może redagować.

Zdusiłem uśmiech na ustach i patrząc spokojnie w oczy gościa mojego, spytałem:

— Ile pan masz pieniędzy?

Kandydat na redaktora zaambarasował się, zaczął bełkotać i w końcu wykrztusił:

— Około stu marek.

Roześmiałem się serdecznie.

— Panie, to pierwszy dowcip do poznańskiego pisma.

Ambaras mojego gościa wzrastał, zaczął się kręcić na krześle, a w końcu jakby na usprawiedliwienie swoje dodał, że nadarza mu się okazya nabycia za bezcen kilkunastu klisz z pewnej drukarni, a nadto kilkunastu kupców obiecało mu już zasilać anonsami nowe czasopismo.

— I któż będzie pisał? — spytałem.

Znowu zaczęło się bełkotanie, z którego wreszcie dowiedziałem się, że „to przecież każdy potrafi“, że „kilku aktorów przyrzekło mu dostarczać anegdot zakulisowych“ i wreszcie, że „zna pikantne tajemnice jednego z bankierów poznańskich, co to, panie, ludzie pękać będą, jak przeczytają“.

Miałem dosyć, — pożegnałem nowego kolegę. W kilka miesięcy później ujrzałem go na czele spółki, fabrykującej jakiś dziwoląg humorystyczny.

Tak powstają zbiorniki humoru poznańskiego. Jak sięgnę pamięcią, wszystkie podobne przedsiębiorstwa na takim rodziły się gruncie, a wobec tego dziwić się nie można, że garstka naszych prawdziwych talentów literackich o humorystycznym zakroju nie znajdywała właściwego pola do twórczej pracy w tym kierunku. Trudno uczciwym publicystom sadzić w bagienkach dziennikarskich kwiaty humoru swojego, — więc od czasu do czasu tylko rzucali garść śmiechu w ulotnych pisemkach, lub sypali skrami dowcipu w rzadkich feljetonach wielkich i małych czasopism politycznych. Pisma humorystyczne pozostały wyłączną areną spekulantów i trzeciorzędnych pismaków.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Trupę poznańską, objeżdżającą miasta prowincyonalne, opuścił także pan Skirmunt. Brak zatem ogółem następujących artystów: panów Knapczyńskiego, Wostrowskiego, Grabowieckiego, Berskiego, Skirmunta i Majdrowicza, pań Pankiewicz, Vernon, Majdrowiczowej, Jakubowskiej, Ogińskiej i Wiśniowieckiej. — Trupa łódzka pod dyrekcyą p. Wołowskiego i reżyseryą p. Trapszy przeniosła się na lato do Warszawy i występuje w budynku cyrkowym przy ul. Ordynackiej. Z dawniejszych poznańskich artystów znajdują się w towarzystwie: panowie Sosnowski, Rapacki i Trapszo, oraz panie Pankiewicz, Wróblewska, Zimajer i Modzelewska. W repertuarze letnim teatru łódzkiego figurują między innemi utwory następujące: „Matki“ Hirschfelda, „Kula“ Nordana, „Dzika kaczka“ Ibsena, „Buburekok“ (Bańki mydlane) Czikyego. — Echegaray wykończył nowy dramat p. t. „Amor salvaje“ (Dzika miłość). — Na scenie warszawskiego teatru Rozmaitości wystawioną ma być wkrótce komedya Zapolskiej p. t. „Zabusia“. — Teatr lwowski zamierza wystawić operetkę „Cnichotka“.

Wyższe gimnazyum żeńskie w Krakowie. Rada szkolna krajowa udzieliła reskryptem z d. 26/IV b. r. l. 7051. śp. prof. Napoleonowi Cybulskiemu wspólnie z prof. Odonem Bujwidem i radcą szkolnym Bronisławem Trzaskowskim — zezwolenie na otwarcie prywatnej szkoły średniej dla kobiet w Krakowie z zakresem wyższego gimnazyum męskiego.

Szkoła obejmie 4 lata nauki i będzie miała na celu przygotowanie do matury gimnazyalnej, tudzież do egzaminu kwalifikacyjnego na nauczycielki wyższych szkół wydziałowych, zapowiedzianych na przyszły rok przez władze szkolne.

Z dniem 1 września br. będzie otwarty pierwszy kurs.

Dla przyjęcia wymaganem jest: wiek lat 14, świadectwo ukończonej z dobrym postępem szkoły wydziałowej żeńskiej, w braku zaś świadectwa ma być złożony egzamin wstępny.

Dyrekcyę szkoły obejmie radca szkolny p. Bronisław Trzaskowski.

Marya Dulębianka. Z powodu tworzenia specyalnego oddziału dla kobiet w Akademii sztuk pięknych w Krakowie „Kraj“ przypomina, że na tę dobrą sprawę zadzwoniła pierwsza przed kilku miesiącami w „Sterze“ utalentowana malarka p. Marya Dulębianka. Oddział ten pozostawać będzie pod kierownictwem kobiety, a wybór padnie prawdopodobnie na właściwą twórczynię rzeczy p. Maryę Dulębiankę. Gdyż w istocie — powiada „Kraj“ — „nikt nie ma nad nią więcej praw do tego stanowiska. Łączy ona bowiem z talentem twórczym doskonałą znajomość teoryi i historyi sztuki, wiele doświadczenia zdobytego dość długą pracą, oraz przebywaniem w głównych ogniskach ruchu artystycznego, a wreszcie duży zasób wiedzy ogólnej, nie często spotykany w świecie artystycznym, chętnie wyodrębniającym się z pośród innych. Wybór takiej kierowniczki postawi od razu sprawę oddziału kobiecego na gruncie właściwym. Omyłka zaś pod tym względem zwichnąć może podstawy całego tak pięknie zapowiadającego się dzieła“.

* Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy odezwę następującą:

Odezwa.

W obec coraz trudniejszych warunków bytu w społeczeństwie naszem, spowodowanych nienormalnemi stosunkami, pod jakiemi handel i przemysł nasz cierpi, powstała w łonie Towarzystwa Kupieckiego w Poznaniu myśl wyszukania tego ogniwa, któreby węzły zadzierzgnięte przez utworzenie Towarzystwa Kupieckiego coraz więcej ścieśniło. — I oto postanowiono utworzyć biuro informacyjne, któreby oddając handlowi i przemysłowi naszemu usługi oparte na szczerej życzliwości wzajemnej, tym sposobem przyczyniło się do samopomocy, na którąśmy z konieczności skazani, a wypełniając nie mniej gorliwie drugą część swego zadania przez udzielanie rad i wskazówek przy osiedlaniu się młodych kupców i przemysłowców, chroniło ich przed smutnemi następstwami nieopatrzonych częstokroć kroków.

Wszakże instytucya taką, której wzorów zresztą nam znanych szukać należy u wszystkich narodów, tylko wtenczas liczyć może na powodzenie i rozwój, jeżeli dozna ogólnego w społeczeństwie naszem poparcia, jeżeli myśl ścisłej łączności do najodleglejszych dotrze zakątków.

Usiłowania nasze polecamy całemu społeczeństwu naszemu — polecamy je głównie tym, którzy już rok przeszło temu z gotowością pospieszyli do nas, by się w jedno zszeregować towarzystwo.

Jednakże skromna nas dotąd drużyna, na której budujemy nadzieje nasze — to też wątpić nam nie wypada, że myśl nasza w każdym z nas gorliwego znajdzie krzewiciela tak koniecznej nam idei łączności.

Ufni w pomoc kół interesowanych i tym tylko sposobem w powodzenie sprawy naszej, w imię Boże przystępujemy do pracy.

Zarząd Towarzystwa Kupieckiego w Poznaniu.

Dyr. M. Więckowski, przewodniczący. M. Dykier, sekretarz.

St. Pfitzner, skarbnik.

J. Paczkowski. Ks. Przyjemski. Hulewicz. Madaliński. Zboralski. H. Robiński. Wegner. Śniegocki. Glabisz.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

„Jak“ niepotrzebnem jest na początku takich zdań: „Jak nam donoszą z..,“ „Jak piszą z..,“ „Jak słychać...“ itp. Prościejby było i z logiką zgodniej: „Donoszą nam...“ „Piszą z...,“ „Słychać, że...“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Abonent. Henryk Nitschmann mieszka w Elblągu (Elbing). Listy dochodzą bez ściślejszego oznaczenia adresu.

Kar. M. Wieści te są fałszywe. Chodzi tu o pewne zmiany formalne, — nic więcej.

Wykolejonej. Polecamy dzieła Chmielowskiego: „Zarys najnowszej literatury polskiej“ i „Współcześni poeci polscy“.

Maryan. Tej kwestyi w krótkiej notatce dokładnie rozstrzygnąć nie można. Wyraz „dekadenci“ oznacza w pierwotnem znaczeniu reprezentantów pewnych kierunków literackich i artystycznych, zrodzonych na paryzkim bruku, a odbiegających dziwactwem formy i treści od dotychczasowych norm i prawideł sztuki. Później uogólniono znaczenie tego wyrazu, określając nim objawy chorobliwej nadczułości, apatyi lub wyuzdania wieku naszego. Ta notatkowa informacya oczywiście nie rozjaśnia kwestyi. Radzimy przeczytać dzieło Nordana „Entartung“ choć zwracamy równocześnie uwagę na jednostronność tej książki.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28